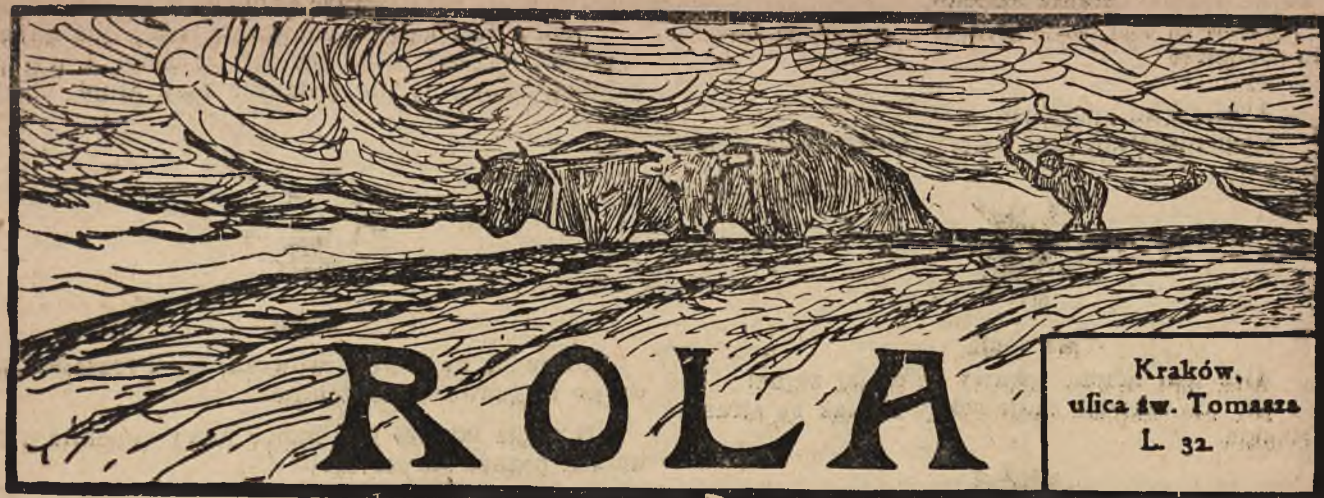
Numer 16. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 21 Kwietnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Mądre dziecko.

— Jeżeli tu jest sześć groszy, a weźmiesz cztery, to ile zostanie?

— Nic.

— A to jakim sposobem?

— Bom nie głupi brać cztery, kiedy mogę wziąć sześć.



Ma rację.

— Ależ pan macza rękawy w mojej zupie!

— Nic nie szkodzi, moje rękawy i tak są strasznie brudne.



Nieomylny znak.

Panna Wisia miała pójść na bal. Późno wieczór pyta ojciec:

— Czy Wisia już poszła?

— Zdaje się, że tak — odpowiada żona — bo wszystkie jej suknie wiszą w szafie.



Wyjaśnił.

— Tatku, dlaczego taki pan, co poluje, nazywa się myśliwy?

— Bo najczęściej zmyśla rozmaite przygody, których wcale nie miał.

Dwie rady.

Ojciec: Słuchajcie, dziewczęta, teraz już najwyższy czas, abyście sobie znalazły mężów! A wy, moi chłopcy, sądzę, że nie będziecie tacy głupi, aby się żenić!



Myśli.

Człowiek najprędzej wówczas traci rozsądek, kiedy go najbardziej potrzebuje.

O wiele łatwiej jest nabyć nowy zupełnie nałóg, aniżeli pozbyć się starego.

Dla niejednego małżeństwa podróż poślubna jest często ciszą przed burzą.

Kobieta z taką samą zręcznością zaostrza ołówek, z jaką mężczyzna nawleka igłę.

Im trudniej kogoś zagnać do łóżka, tem trudniej go rano z tego łóżka spędzić.



„Postęp“ kobiet.

Żona (do męża): „A ja ci powiadam, że my wkrótce i łysiny będziemy miały, aby we wszystkiem dorównać mężczyznom!

Numer 16. Rok XII. Kraków, dnia 21 Kwietnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Jaką jest polityka a jaką być powinna.

Zdarza się czasem, że ten i ów z naszych Czytelników pisze nam, iż »Rola« byłaby znakomitem pismem, gdyby w niej było więcej polityki. Może być, ale takiej polityki, jaka ona dzisiaj jest, my uprawiać nie chcemy, gdyż wiemy, że dzisiejsza polityka przynosi Ojczyźnie naszej szkodę, a nie pożytek.

Przypatrzmy się bowiem, co się dzieje w Sejmie, co dzieje się w całym kraju. Oto natworzyło się najrozmaitszych partyj i partyjek co niemiara, które nawzajem się zwalczają, które nawzajem nogi sobie podstawiają, a przywódcy ich nie myślą o dobru kraju, ale o własnych korzyściach, aby jak najdłużej utrzymać się na powierzchni życia powszedniego i ciągnąć z tego dla siebie zyski i zaszczyty.

Obserwujemy życie naszego Sejmu i czytamy uważnie sprawozdania z jego obrad. I cóż się okazuje. Jeżeli rząd lub stronnictwo, popierające ten rząd postawi w Sejmie jakiś wniosek, choćby najlepszy, to wówczas cała tak zwana opozycja huzia na ten rząd i wniosek upada ze szkodą dla społeczeństwa. Zwalczają ten wniosek nietylko posłowie obcych narodowości, którzy są wrogo dla Polski usposobieni, ale nawet polscy posłowie, należący do tak zwanej opozycji. Łączą się posłowie polscy z komunistami, Rusinami, Niemcami, aby tylko głosować przeciw rządowi i przez to pokrzyżować jego zamierzenia, przez co jednak nie rządowi, ale Polsce szkodę przynoszą.

Jaskrawym tego przykładem było nieuchwalenie funduszów dla Marszałka Piłsudskiego na tępienie szpiegostwa w Polsce.

Ale nietylko wówczas, gdy rząd wchodzi w grę, ale gdy jakieś stronnictwo samo przyjdzie do Sejmu z dobrym wnioskiem, to zaraz inne stronnictwa, niechętne mu, zwalczają ten wniosek, choćby on był najlepszy. Wszelkie uchwały, jakie w obecnym naszym Sejmie powstają, zawdzięczają swe istnienie raczej przypadkowi, aniżeli sumiennemu i bezstronnemu rozważeniu sprawy.

A w kraju? Oto ten, czy ów poseł przyjeżdża do wsi, zwołuje wiec i zamiast coś mądrego powiedzieć swym wyborcom wymyśla czas dłuższy swoim przeciwnikom politycznym. Chcąc się utrzymać na powierzchni życia politycznego, wszystkich swych przeciwników z błotem miesza, a siebie jedynie stara się wywyższyć.

Taką jest nasza polityka, a taką być nie powinna. Naszem zdaniem poseł nie po to jest, aby drugich z błotem mieszać, lecz żeby pracować uczciwie i sumiennie dla dobra społeczeństwa. Jeżeli widzi, że ktoś inny przychodzi do Sejmu z dobrym wnioskiem, to gdyby ten ktoś był nawet jego śmiertelnym wrogiem, to nietylko wniosku jego nie powinien zwalczać, ale całą siłą go poprzyć, boć to wyjdzie tylko na korzyść społeczeństwa.

A gdy przyjedzie do wsi i zwoła swych wyborców na wiec, to na wiecu powinien ich pouczyć, co i jak robić, aby w kraju było dobrze, powinien złożyć sprawozdanie, co on dobrego dla swych wyborców zdziałał w Sejmie i dlaczego tak, a nie inaczej postępował. Niech zwalcza swych przeciwników swemi dobremi czynami, swą pracą i uczciwością, a wady ich niech pozostawi w spokoju. Wyborca sam oceni, co kto wart i pójdzie za tym, kto więcej dobrego dlań uczynił.

Oto taką powinna być nasza polityka. Cokolwiek czynimy, powinniśmy czynić z myślą o dobru Ojczyzny, o dobru naszych współbraci. A jeżeli ktoś nawet błądzi, to niech go przekonują o tym błędzie rzeczowe argumenty, a nie wymyślanie mu i odsądzanie od czci i wiary. Taka dopiero polityka doprowadzi do upragnionego celu.

ANTONI ST. BASSARA.

Branki tatarskie.

Powieść na tle historycznem.

ROZDZIAŁ I.

Napad Tatarów.

Ze wszystkich stron, bo od Bielcy, Olgopola i Bracławia dochodziły głuche wieści, że tu i tam ukazywały się zagony tatarskie, paliły wsi i miasteczka, rabowały mienie mieszkańców, a ludzi brały w straszny jasyr, straszniejszy wielokrotnie od śmierci samej. A wieści te przejmowały ludzi lękiem, jako że były to wogóle czasy niespokojne, a w Polsce tem niespokojniejsze, gdyż zniechęcony wielu troskami król Jan Kazimierz, złożył koronę królewską, a nowego pana jeszcze nie było.

Nie wiadomo, skąd wieści te przychodziły, kto je przynosił do Jampola, rozłożonego nad sinym Dniestrem, i czy były prawdziwę, czy tylko rozsiewane na postrach dla ludzi. Powiadano jednego dnia, że Tatarzy puścili z dymem Klebań, to znów kiedyindziej opowiadano, że w Kukutach wymordowano całą wieś, że ani żywa dusza nie uszła, to zasię, że zrabowali Lipczany, położone nad Prutem, daleko na zachód od Jampola.

Mógł strach przejmować mieszkańców Jampola, kiedy się doń dostawały takie wieści, gdyż znajdował się on niejako w centrum tego szerokiego koliska, zataczanego przez hordy tatarskie.

Jampolanie czuwali tedy, przygotowani na wszystko najgorsze, ale zwykłego trybu życia nie zmieniali. Trudno bowiem było ręce założyć i czekać na przyjście nieszczęścia, którego się spodziewano. — Trzeba było żyć, a aby żyć, musiano pracować. Ludność więc Jampola pracowała normalnie, nie zaniedbując po pracy i godziwej rozrywki, choć była każdej chwili przygotowana na spodziewany najazd.

Nad bezpieczeństwem mieszkańców czuwał pan Stawski, właściciel Jampola, który miał garść żołnierzy dla własnej obrony i swej majętności. Byli to Lipkowie, potomkowie jeńców tatarskich, zabranych do niewoli i osadzonych na ziemiach polskich. Mówili oni nietylko po tatarsku, ale i po polsku i rusińsku. Wyznawali wprawdzie wiarę mahometańską, byli jednak do Polski i do pana Stawskiego bardzo przywiązani. Dowodził nimi Stach Jaszczur, oficer młody jeszcze, ale bardzo doświadczony i zaprawny w walkach z Tatarami.

Lipkowie pod wodzą swojego komendanta pojechali właśnie zbadać najbliższą okolicę i stwierdzić, ile jest prawdy w rozsiewanych pogłoskach.

Pan Jaszczur zapewniał, iż wróci za dwa dni, a tu tymczasem czwarty już dzień miał się ku schyłkowi, a o panu Jaszczurze i o jego Lipkach ani słychu nie było. Począł się niecierpliwić pan Stawski, a jedynaczka jego, jasnowłosa Hanusia, która była ze Stachem po słowie, popłakiwała po kątach i coraz częściej jasne oczęta drobną rączką ocierała.

Zoczył to pan Stawski i choć był sam mocno niespokojny o Stacha, którego całem sercem pokochał, jako dzielnego młodzieńca, a swego przyszłego zięcia, ale oburzył się na Hanusię i rzekł:

— Nie marudź waćpanna! Słońce chyli się ku zachodowi, ludzie zejdą wnet z pola i ostatnie zżęte kłosy pszenicy przyniosą. Trzeba ich przyjąć godnie i ugościć serdecznie, jak na to zasłużyli.

Hanusia otarła błękitne oczęta i poczęła się żywo krzątać około przygotowania jadła i napitku. Pomagały jej dwie dorodne dziewoje służebne: Basia i Ksenia, które, chociaż córki zamożnych wieśniaków, chętnie poszły na służbę do dworu, aby tam nabrać więcej ogłady i poduczyć się niejednego.

Trzy dorodne dziewoje, podobne raczej do rusałek, aniżeli do żywych istot, ponakrywały stoły bieluśkimi obrusami, poustawiały około nich ławy, porozkładały jasne kołacze, wypieczone na dzień dożynków z jasnej mąki pszennej i porozmieszczały kubki, do których miano nalewać słodki miód, aby godnie przyjąć spodziewanych gości.

Hanusia, kierując pracą towarzyszek, raz wraz spozierała do okna i natężała słuch, czy nie ujrzy powracającego Stacha, lub nie usłyszy tententu koni, niosących na swych grzbietach oczekiwanych. Basia natomiast, dziewczę usposobienia wesołego, pracując, nuciła to smętne, to wesołe piosenki, zaś Ksenia wzdychała tylko i spoglądała na swą panienkę, czy ta nie płacze, aby jej co rychlej w płaczu tym pomódz i własnemu sercu nieco ulżyć. Bo i Ksenia miała powód do smutku. Wszak pomiędzy Lipkami był jej Selim, który nietylko przyrzekł ją poślubić, gdy nastaną lepsze czasy, ale nawet porzucić wiarę mahometańską, a poprosić o chrzest święty. A i Basia tęskniła za drugim Lipkiem, Ibrahimem, ale tęsknoty swej nie okazywała na zewnątrz, ale kryła ją jasnym uśmiechem i udaną wesołością.

— Panienko! — ozwała się Ksenia — A czy pan Stach z Lipkami wnet wróci? Czy ich Tatarzy nie pozabijają?

— Tatarzy? Ich? — odparła Hanusia z oburzeniem. — Daliżby oni się Tatarom!

— A gdyby tak Tatarów było pięć, dziesięć, sto razy więcej? — indagowała dalej Ksenia — to co wtenczas?

— Toby ich podzielili na mniejsze gromadki — wmieszała się Basia — i wykłuli na raty.

— A jakby się nie dali podzielić?

— Co ty powiadasz dziewczyno! Pan Stach i nasi Lipkowie nie daliby sobie rady z Tatarami? — tłomaczyła dalej Basia. — Jużby oni sobie znaleźli sposób, aby tak było, jak zechcą.

— A jakby się im nie udało znaleźć takiego sposobu? — pytała dalej Ksenia.

— Toby uciekli!

Oburzyła się Hanusia na takie powiedzenie Baścyne:

— Stach nie uciekałby przed Tatarami i Lipkowie by nie uciekali — rzekła. — Raczej zginęliby wszyscy, ale ucieczkąby się nie shańbili!

— Zginęliby? powiada panienka — zapytała jeszcze Ksenia przez łzy, a łzom jej zawtórowały łzy Hanusi i Basi, która straciła swą zwykłą wesołość i nagle rozbeczała się na dobre.

Ale na płacze nie było czasu, bo od pola począł dochodzić najpierw przyciszony głos skrzypek i hrapliwe buczenie basu. Głos ten coraz bardziej się przybliżał, potężniał, a od czasu do czasu przerywały go przyśpiewki żniwiarzy i wesołe chichoty żniwiarek.

Państwo Stawscy wyszli na ganek dworu, aby powitać przybywających gości i podziękować im za sumienną pracę całego lata. Orszak cały ustawił się półkolem przy ganku, zagrały skrzypki, zadudniały basy, a z ust żeńców wypłynęła piosnka: „Plon niesiemy plon, jegomości w dom", poczem przodownica

wręczyła państwu wieniec, uwity z kłosów pszenicy, pięknie przystrojony różnokolorowemi wstążkami, za co pan Stawski złożył całej gromadzie serdeczne podziękowanie i poprosił do suto zastawionych stołów.

Naczelne miejsce zajęli państwo Stawscy, po ich prawicy usiadła przodownica Marcysia, po lewej stronie Walek Jucha, ten, co to ani jednego dnia żniwnego we dworze nie opuścił, a dalej reszta rozochoconej gromady.

Goście byli po całodziennej pracy wygłodniali, a że państwo Stawscy zachęcali ich do jedzenia i picia, a Hanusia z swymi towarzyszkami pilnie baczyły, aby nikt nie był pokrzywdzony, więc też wkrótce dary Boże znalazły się w żołądkach młodzieży.

— A teraz muzyka... krakowiaka! — zarządził pan Stawski.

W jednej chwili cała izba opróżniła się ze stołów i ław, chłopcy poczęli przytupywać, a dziewczęta przebierały nogami, aby je coprędzej w ruch puścić. Rozpoczęto dopiero tańce, kiedy Marcysia pokłoniła się panu Stawskiemu i poszła z nim w pierwszą parę i kiedy za nimi puściła się w tany pani Stawska z Walkiem Juchą. W dalszych parach szli: Hanusia z Marcinem Wardzałą, Basia z Jaśkiem Malikiem, Ksenia z Michałem Maciaszkiem i tak dalej, i tak dalej.

Państwo Stawscy przetańczyli tylko jeden taniec, poczem usiedli pod oknem na ławie, aby się przypatrzeć zabawie młodzieży, która po całodziennej pracy bawiła się tak ochoczo, jakgdyby przez cały dzień przepróżnowała.

Hanusia natomiast bawiła się narówni z młodzieżą wiejską. Chociaż serce pokrywała jej tęsknota i obawa o umiłowanego chłopca, to przecież nie wypadało odmawiać proszącym ją do tańca, aby nie powiedziano, że gardzi nimi.

A kiedy tak bawiono się w najlepsze, na polu dał się słyszeć tętent pędzącego konia. Posłyszała go pierwsza Hanusia, która pomimo zabawy przemieniona była cała w słuch. Momentalnie zatrzymała się w tańcu i przybiegła do okna, aby zobaczyć, kto tak późną nocą pędzi ku dworowi, czy to który z Lipków z wieścią od Stacha. Ale nim zdołała rozróżnić, kto przybywał, w drzwiach stanął jakiś obszarpany chłopak, cały kurzem pokryty i wrzasnął:

— Ludzie! ratujta się! Tatary idą!

Rzucono się ku niemu i poczęto wypytywać. A on opowiadał, jako wielka chmara Tatarów napadła na Soroki, jako ludzi w pień wycięli, jako cały dobytek zrabowali, jeno on zdołał się wymknąć, dopaść konia pasącego się na pastwisku i do Jampola przypędzić i ostrzedz przed strasznym najazdem.

Soroki od Jampola leżały niewiele dalej, jak godzinę drogi, więc niebezpieczeństwo było dość wielkie. Wprawdzie nie wiadomo było, czy chłopak go nie przesadza ze strachu, nie wiadomo było, czy Tatarzy nie poprzestaną na zrabowaniu Sorok, jak też nie wiadomo było, w którą stronę ewentualnie udadzą się na dalszy rabunek. Ale mimo to trzeba było być przygotowanym na wszelki wypadek i z bronią w ręku oczekiwać możliwego napadu.

Pan Stawski nie stracił głowy. Zapas broni, jaki znajdował się we dworze, porozdzielał pomiędzy tych, którzy umieli się z nią obchodzić, innym polecił uzbroić się bądź w widły, bądź w cepy, a jeszcze inni znosili do izb kamienie, jakich dość duża ilość znajdowała się na dworskiem podwórzu. Kobietom polecił palić w piecach i gotować wodę, aby w razie potrzeby można było gorącym wrzątkiem spłukać głowy najezdników.

Garść obrońców była niewielka, ale przygotowana na wszystko najgorsze, a z pomocą przybywali im mieszkańcy Jampola, którzy o spodziewanym najeździe już się dowiedzieli, i którzy woleli cały dobytek zostawić na łaskę losu, byle tylko życie ocalić. Wprawdzie pomiędzy przybyłymi były kobiety i dzieci, które mogły być raczej zawadą, aniżeli pomocą podczas spodziewanej walki, ale trudno, trzeba było pomyśleć i o ich losie i nie można było ich pozostawić na pastwę dziczy tatarskiej.

Kiedy część przybyłych umieściła się w obszernym dworze, a reszta zajęła dworskie zabudowania, jak stajnie, stodoły i spichrze, pan Stawski kazał zabarykadować wszelkie wejścia, a przy oknach poustawiał najtęższych zuchów, zaopatrzonych w broń palną, aby ci mogli pierwszy impet najeźdźców odeprzeć.

A czas był już najwyższy, gdyż stało się całkiem jasnem, że rzeczywiście napad Tatarów na Jampol miał nastąpić lada chwila. Pomimo szmeru, jaki mimowoli wydaje wielka rzesza ludzi razem zgromadzonych, ciszę nocną przedarł od strony północnej donośny tętent dziesiątek koni, pędzących galopem ku Jampolowi.

Tatarzy szli ławą na kształt półksiężyca, mając jego rogi daleko wyciągnięte ku wschodowi i zachodowi. Wyglądali oni, jakgdyby zapuszczali olbrzymią sieć, w którą zamierzali złowić wszystko, co napotkają po drodze. Szli drogą, szli ścierniskami po świeżo zżętem zbożu, tratowali wszystko, co jeszcze na pniu pozostało.

Wreszcie dopadli pierwszej chaty w Jampolu. Zatrzymali się chwilę, jakby oczekując możliwej obrony, ale gdy ta nie pojawiła się, wpadli do wnętrza, przetrzęśli całą izbę, a nie znalazłszy w niej nikogo, skrzesali ognia i puścili dom z dymem.

Przypadli do drugiej chaty... To samo!... Przypadli do trzeciej i tu również nie znaleźli nikogo. Mienia nie szukali, gdyż wiedzieli, że w chatach wieśniaczych wiele znaleźć go nie mogą. Zabierali więc tylko ze stajen bydło, a domy i zagrody podpalali.

Ale Achmetowi, dowódcy hordy, nie tyle o mienie szło, co o jasyr. Pan jego, Murza, wyprawił go do Polski, aby jak najwięcej jasyru przywiódł, aby zasilił haremy tatarskie, w których coraz bardziej dawał się odczuwać brak pięknych kobiet. Rozkazał mu przywieźć kilkanaście tuzinów tego towaru, a tu dotąd Achmet upolował zaledwie sztuk kilkanaście. Wyprawa jego, jak dotąd, nie miała powodzenia, bo wioski, które najechał, albo zastawał opustoszałe, albo pozbawione niewiast, które byłyby godne znaleźć się w haremach tatarskich dygnitarzy. Dowiedział się, że Jampol słynie z pięknych niewiast, że w nim mieszka wiele Polek, słynnych z swej urody. Wiedział o tem i był pewny obfitego łupu.

A tu tymczasem zawód zaraz na wstępie. Chaty opustoszałe i wszystko zdawało się na to wskazywać, że mieszkańcy, uprzedzeni o najeździe, zdołali się dobrze przed nim ukryć.

Zagryzał wargi do krwi i kazał do siebie wołać Tefika, któremu był powierzył wywiady, a który zapewniał go, że w Jampolu nic o najeździe nie wiedzą i że wszyscy mieszkańcy znajdują się na miejscu.

— Psie! — wrzasnął, gdy Tefik stanął przed jego obliczem. — Zaufałem ci, gdyś twierdził, że Jampol

spokojny! A ot co! Chaty puste, z mieszkańców ani śladu.

— Znajdziemy ich! — odparł butnie Tefik.

— Znajdziemy! — zawył Murza — ale ciebie przy tem nie będzie!

Chciał coś odrzec Tefik, ale momentalnie kindżał Achmeta przeszył serce butnego Tatara.

Achmet przywołał innego z swych podwładnych, młodego i dzielnego Timara i polecił mu przeszukać jak najdokładniej cały Jampol, a potem wszystkie domy z dymem puścić. Timar wydał rozkaz, na który rozbiegła się garść Tatarów, aby wysłuchać polecenia nowego przełożonego. Lecz zaledwie Timar wymówił słów parę, powietrze przedarł ostry świst i kula, uderzywszy w samą pierś, pozbawiła go młodego życia. Bez rozkazu rozbiegli się Tatarzy na poszukiwanie śmiałka, który odważył się na czyn tak zuchwały. Ale nim go znaleziono, kilku jeszcze Tatarów pożegnało się z swem życiem. Wkońcu jednak ujęto go. Był to Mazur, przybyły niedawno gdzieś z pod Warszawy, który otrzymał od pana Stawskiego kawał pola i tu się osiedlił. Nazywał się Makolągwa. Kiedy wszyscy inni uchodzili przed spodziewanym najazdem, on postanowił pozostać i bronić mienia swego do ostatniej kropli krwi. Wstyd mu było uchodzić i przepłacił to życiem, gdyż Tatarzy, znalazłszy go, rozsiekali go na drobne kawałki. Drogo jednak sprzedał swe życie, gdyż ośmiu pohańców przeniosło się razem z nim do wieczności.

Ale teraz Tatarzy stali się jeszcze okrutniejsi i można się było spodziewać, że zemstę swą wywarliby na każdej spotkanej istocie w sposób jak najstraszniejszy. A wściekali się tembardziej, że dom za domem spotykali zupełnie pusty i nigdzie nie było żywego ducha. Palili więc i niszczyli wszystko i jedynie spodziewali się, że niepowodzenie swe powetują we dworze, który stał nieopodal Jampola. A spodziewali się tem pewniej, że jeden z Tatarów, który z własnej woli zapędził się aż pod sam dwór, doniósł swym towarzyszom, że dwór jampolski pełen jest ludzi, że tam prawdopodobnie zgromadzili się wszyscy mieszkańcy, aby się schronić przed najazdem Tatarów.

Była to pocieszająca wiadomość dla spragnionej krwi hordy. Co młodsi i zapalczywsi chcieli natychmiast uderzyć na dwór, ale Achmet powstrzymał ich zapał, kazał im nieco wypocząć i potem z całym impetem zabrać się do dzieła. Rozkaz był jasny i wyraźny: z dworu jampolskiego nie powinna wyjść żywa dusza. Kobiety, dzieci i starcy pod nóż; dziewczęta młode w jasyr do haremów; mężczyźni zdrowi i silni w dożywotnią niewolę, o ile który z nich nie padnie w boju. Wszystko, co cenniejsze, zabrać, a dwór z dymem puścić!

Taki był rozkaz Achmeta i taka przyszłość czekała dwór jampolski, jego mieszkańców i tych, co się do tego dworu schronili.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wiosna.

Za lasami, za górami, za ziemią, tam kędy słońce po dniu kładzie utrudzoną głowę, było piękne królestwo i piękna królowa. Chodziła ta jasna pani w promiennej koronie, a ta korona była z lilij, pierwiosnków i kwiatów upleciona. Spoczywała królowa na murawie, przeglądała się w modrych roztopionych błękitach, słuchała pieśni ptasząt i swawoliła z zefirkiem przekomarzając się z nim złotemi puklami włosów. I było promiennie w tem królestwie i było ciepło i miło. I byłaby piękna królowa próżnowała dalej, zapomniawszy o swej corocznej podróży, z takiem upragnieniem oczekiwanej przez ziemski padół...

Aż jednego dnia, gdy Wiosna spoczywała na kwiecistem łożu wdychając wonie budzącego się życia — nagle doleciał ją żałosny jęk: oto u jej stóp leżała ptaszyna, mizerna z resztkami śniegu na zmarzniętym dzióbku, z politowania godnem cierpieniem w oczach. A był to wróbelek!

I gdy promienna pani dotknęła go życiodajną dłonią, ptaszę, nabrawszy nowych sił, wyrzekło słabym głosem:

— Pani ulituj się! daj Polsce wiosnę! Tam zimno, głód i nieszczęścia...

Zafrasowała się królowa, zadumała. Dawszy w owej zadumie upust wewnętrznemu żalowi, krzyknęła na swój dwór.

I poszedł szmer między dworzanami: „Wiosna, pani nasza, idzie w podróż idzie!“

I zabrał się dwór cały ochoczo do pracy:

Oto ptaszęta wszelkiego rodzaju, rozbiegły się po całej wiośnianej krainie: z każdego kwiatka wybierały po jednem nasionku, z każdego drzewka po jednym pękatym pączku, a zebrawszy, umieszczały w złotym różku królewny: ten rożek był to eliksir życia.

Wiosna wybierała się w podróż. Była piękna: na jej licach zakwitł radości rumieniec, po jej postaci spływała szata wzorzyście z trawy i kwiatów utkana, na włosach lśnił się wieniec z promieni słonecznych uwity.

Szła Wiosna...

Każdy jej krok, był dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Kiedy zaś nachyliła ów rożek nad ziemią, wysypywała się jego zawartość i wyrastał kwiatek, a gdzie obróciła swą świetlaną głowę, siadał ptak przed nią na wpół ogołoconym drzewie i śmiał się jej w oczy i śpiewał; tak mu było dobrze i ciepło.

Ale królowa była zawsze pusta: chciała podziwiać swą urodę w zwierciadłach wód, ale przeciwnik Mróz na przekór Wiośnie uwięził wszystkie wody w silnych okowach mrozu.

Zaśmiała się Wiosna, a zaśmiała tak szczerze, że zbliżyła promienną głowę do tafli jezior, rzek, stawów — i pękły lody ze zgrzytem, ze zgrzytem wściekłości białego królewicza...

Gdy tak królowa odbywała swą wędrówkę, natknęła się na wielką ławę tłumu ludzkiego: lud był biedny, w poszarpanem odzieniu, wymęczony przebytem cierpieniem. Rzucił się on przed Wiosną na kolana, wznosząc w entuzjazmie dziękczynienia. Krolowa rozłożyła nad nim ręce, spuściła ożywcze ciepło...

I stał się cud!

I stał się koniec męczarniom i niedoli i wróciła ludowi ochota do dalszej walki o byt i wróciła nadzieja!

I szła wiosna dalej, pod rozjaśnionem niebem, po rozkwietnionej ziemi w aureoli dźwięków hymnu pochwalnego, który jej nuciła przyroda i człowiek!

K. Barnaś.

TRZY KRZYŻE.

Po północnej stronie Wilna, na górze Trzykrzyzkiej, widnieją zdala trzy białe krzyże, wznoszące się na jednej podstawie. Widzimy je na obok umieszczonym obrazku.

Niemal na każdej dawniejszej fotografji Wilna można podobne, ale drewniane, trzy Krzyże zobaczyć. Krzyże te stały na grobie 7 Franciszkanów tamże przez pogan zamordowanych. Rząd rosyjski nie pozwalał na wybudowanie trwalszego pomnika. Kiedy jednak w czasie wielkiej wojny Wilno zajęli Niemcy, i zawiał, choć chwilowy prąd przyjazny dla Polaków, zwrócono się do komendanta Wilna o pozwolenie postawienia krzyży betonowych.

Uzyskano pozwolenie, które jednak niemieckie władze centralne natychmiast cofnęły. Rozkazu jednak wystosowanego do księdza biskupa wileńskiego, nie było komu wręczyć, bo ksiądz biskup ukrył się przed Niemcami, ludność tymczasem zabrała się z nadzwyczajnym zapałem do pracy. Wyruszyli mężczyźni i kobiety, starcy i dziatwa, inteligencja i prostaczkowie i tak jak niegdyś przy sypaniu kopca Kościuszki w Krakowie, dźwigali na górę potrzebne materjały, nosili w garnuszkach wodę, pracowali dzień i noc, póki na grobach męczenników nie stanęły trzy wspaniałe krzyże z żelaza i betonu, według projektu A. Wiwulskiego. Kiedy budowa była wykończona, ksiądz biskup pismo niemieckie przyjął, ale już nieco spóźnione. Niemcy wprawdzie nie kazali krzyżów zburzyć a zabronili ich poświęcenia, obawiając się wrogich manifestacyj przeciw sobie. Dlatego też ksiądz biskup potajemnie w nocy krzyże owe poświęcił.

Opodal góry Trzykrzyzkiej znajduje się tak zwana Góra Zamkowa. Jest ona oddzielona tylko wąwozem sztucznie wykopanym. Na Górze Zamkowej znajdują się jeszcze szczątki baszty i krzyż na grobie straconych patrjotów w 1863 r.

Na górze tej, zwanej dawniej Turzą na miejscu pierwotnego przedhistorycznego grodziska stanął w pierwszej połowie XV wieku zamek murowany o trzech potężnych basztach. W r. 1660—1661 padł zamek ofiarą oblężenia i bombardowania. Pozostały jednak trzy baszty, lecz przy końcu XVIII wieku i ta pozostałość padła ofiarą wandalizmu rosyjskiego. Dokonano zburzenia dwóch baszt, a rozpoczęto nieszczenie trzeciej, z której ocalał tylko trzon dolnych pięter.

Na ocalałym zrębie baszty ustawiono w r. 1830 drewnianą budę o charakterze rosyjskim, dzięki czemu dół baszty ocalał. Na wierzchołku góry, między dwoma topolami Murawiew kazał w r. 1863 grzebać zwłoki straconych powstańców w tajemnicy przed



ludnością. Zachowała się jednak pamięć o tym grobowcu zarówno po stronie Rosjan, którzy przy końcu XIX wieku urządzili na tem samem miejscu plac zabaw, jak i w społeczeństwie. Kiedy w r. 1915 weszły do Wilna wojska niemieckie, komisja obywatelska uzyskała od ówczesnego komendanta niemieckiego pozwolenie na rozkopanie grobów, w których rzeczywiście znaleziono szczątki pomordowanych. Komisja uzyskała również pozwolenie na wzniesienie krzyża na grobie poległych.

Ale gdy wzniesiono wielki krzyż drewniany według projektu Wiwulskiego, nie spodobało się to Niemcom i krzyż u podstawy zrąbali. Dziś stoi on podparty, specjalną konstrukcją drewnianą. Groby otacza ogrodzenie z cegieł, a na środku widnieje wielki krzyż z kwiatów.

Ludność wileńska otacza obydwie góry, a właściwie pamiątki na nich znajdujące się, wielką czcią i chętnie je odwiedza, podziwiając z tych wzniesień cudną panoramę Wilna, które rozsiadło się nad złocistą Wilją.

W pogoni za młodością.

(Według klechdy ludowej.)

Mistrz Twardowski w atłasowym kontuszu, z nachyloną czapą rogatą na prawe ucho na głowie, siedział na dębowej ławie, przy dędobywm stole i maczając gęsie pióro w czarnym, jak sadza atramencie, kreślił jakieś znaki w olbrzymiej księdze pergaminowej. Obok szczerzyła zęby i przerażała oczodołami, jak głębie mórz tajemniczemi, trupia czaszka, a chwytały za krtań i odurzały aromatem rozmaite zioła, gęsto wszędzie porozkładane. W komnacie o grubych i poczerniałych od starości murach, o kopulastem sklepieniu, panował, jak przystało na mistrza tajemniczych mocy, szary mrok, trwogą przejmujący każdego przybysza. Twardowski otarłszy pot rękawem z czoła, przestał machać piórem i stuknął szablą o podłogę. Z za kotary, z sąsiedniego alkierzyka, hyżo i bez hałasu, wyskoczył djablik cały w czerwonej liberji i począł kłaniać się w pas Twardowskiemu. Twardowski ruchem władcy wskazał na świecę. Djablik, kłaniając się w dalszym ciągu, z nosa wykrzesał iskrę i nią zaświecił łojówkę. Twardowski znowu stuknął szablicą i djablik w podskokach skrył się za kotarą. Znowu ujął za pióro.

Wtem ktoś targnął kałatką. Inny djablik, mający skrytkę przy wejściu i sprawujący funkcję odźwiernego, wpuścił do środka starą, jak grzyb babinę, otuloną w różnokolorowe płachty.

— Czego wam potrzeba? — zapytał ją Twardowski.

Baba, otrząsnąwszy się nieco z przykrego wrażenia i chwytając Twardowskiego za nogi, odrzekła:

— Jaśnie panie mistrzu, jabym chciała — przeł-

knęła dławiącą ślinę — jabym chciała oleju skutecznego na odmłodzenie.

Twardowski otworzył szafę, pełną mniejszych i większych flaszeczek, wyjął jedną, w której był ten cudowny eliksir, wstrząsnął ją i podał babie, mówiąc:

— To wystarczy, że będziecie wyglądać niby podlotek z piętnastoma latami. Guldena macie?

Baba wyjęła z zanadrza nasiąkniętą potem, jakby w oliwie maczaną, chustę, dobyła guldena, położyła na stole i przestępując z nogi na nogę, zapytała:

— Czy to zaraz odmładza stare gnaty?

— Zaraz, jak tylko wypijecie — przekonywująco zapewnił ją Twardowski.

Baba popatrzyła na flaszeczkę pod światło łojówki i nie mogła uwierzyć, by taka mała ilość mogła ją odmłodzić i to zaraz! Więc jeszcze poprosiła:

— Jaśnie wielmożny panie mistrzu, jabym chciała jeszcze flaszeczusię...

Twardowski chciał się jej już pozbyć więc rzekł:

— Macie tu drugą. Dawać guldena i uciekajcie, bo późno.

Baba zapłaciła i odeszła. Ledwo znalazła się za progiem, odkorkowała flaszeczki i wychyliła zawartość. Zaszumiało jej w głowie...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Nazajutrz rano, Twardowski wyszedł wyjrzeć na świat i najniespodziewaniej znalazł pod bramą kwilące niemowlę.

— Masz babo, czegoś chciała — rzekł, śmiejąc się w duchu. — Wieki przeminą a ty nigdy nie przestaniesz kusić szatana, by tylko otrzymać młodość... Cha! Cha! Cha! młodość...!

Edward Cygan.



MACIEK BZDURA GADA:

Najśmiśniejsy na świecie jest taki człowiek, który się ma za cosik lepsego, anizeli jest naprawdę. A takich najśmiśniejsych ludzi na świecie jest bardzo duzo. Nadymają oni się, jak zaby na jęcmienisku i z tego nadymania omało nie pękną. U nas w Psiej Wólce nazywają takich hunornemi. Ludziom takiem się zdaje, ze ich Poniezus nie z gliny, ale z jakisik papki stworzył i bez to na wszyćkich patrzą z góry, a ino siebie za cosik lepsego mają. Ale ja łgam, jeśli powiadam, ze na wszyćkich. Bo nie na wszyćkich, ino na bidniejsych od siebie, bo przed bogatemi to się zginają do ziemi, a wtedy o swojej hunorności zapominają.

Jest takich ludzi po całem świecie bardzo duzo, są i u nas w Psiej Wólce, a przedewszyćkiem jest taki jeden śmisny hunornik, którego jednak nazwiska przez delikatność nie powiem. Nazywa się Jędrek Mędrek. Tatuś nieboscyk zostawili mu śtyrnaście morgów grontu ornego i morgę łąki, a zostawili ino bez to, ze tego niboracek ze sobą do trumny wziąć ni mogli. I Jędrek Mędrek bez śmierć tatusiową stał się panem. A zostawszy tak niespodzianie majętnem gazdą, pocął zadzirać nosa do góry, jak jaki łokonom, albo inksy dworski urzędnik, a na wszyćkich z góry patrzyć i wszyćkich mieć za łojsko rocną kapustę. Takie się to harne zrobiło, ze nikogo nie usanuje, ani nawet moji gospodyni, choć to baba, jak pieruny, ućciwa i w sobie obsyrnia.

Jaze mnie korciło, aby takiego harnisia naucyć rozumu, zeby nie udawał człowieka, kiedy jest świnią. Cekałem miesiąc, dwa i na nic. Jaze w tamtą niedzielę po niesporach nadarzyła mi się dobra sposobność. Staliśmy se z chłopakami przed kościołem i cekali, jaz wszyćkie makolągwy wyjdą śniego, coby było na co popatrzyć. Stoiwa tak i patrzywa, która od której śwarniejsa, az tu dyma od wsi Jędrek Mędrek.

— Idzie porcelanowy ślachcic, co ma cosik z tarcic — pocęli się śmiać chłopaki.

— Pozdejmujcie capki z kudłów, bo wielgaśna osoba wali! — powiada któryś.

— Cichajcie — ja na to — taki psiawiara gruntowiec, co wszyćkich ma za hetke-pętelke, warta, aby go naucyć moresu. Rozbiegnijcie się chłopaki tak, aby co trocha jeden spotkał się z Jędrkiem Mędrkiem. Jak się który spotka śnim, niech się mu ukłoni do samy ziemi, jak nieprzymierzając jakiemu hadukatowi.

Chłopaki usłuchali cemduchu i porozłazili się ten tu, ten tam, jakby Jędrka Mędrka nie widzieli.

Idzie se Jędrek Mędrek i jaze para ze wszyćkich stron od niego bucha z wielgiej harności, a on udaje, ze nikogo przed sobą nie widzi. A tu co trocha to jeden kłania mu się w sam pas do ziemi i powiada:

— Dzień dobry, panie Jędrzeju!

Za pirsem i drugiem razem to się Jędrek Mędrek uśmiechał i ciesył się, ze ma takie posanowanie w gminie i to w niedzielę świętą, ale zapóźni poznał się na cem rzec i pocęła go melankolja tyrmosić ze złości.

— Cegóz, chorobniki, jakiesik kumendyje stroicie? — powiada i ślipiami ze złości na nas ciska.

A chłopaki dalej się mu kłaniają i capkują.

Juz ni mógł strzymać i ścisnął garść w pięść i chciał pirsego lepsego bez łep lunąć, ale my go cemduchu wzięli w kółko i zacęli powiadać:

— Niech się jasny pan nie gniwają na bidnych hudaków! My jeno tak z wielgiego szacunku. Za śpasy, jakiewyście bez cały rok z nami prowadzili, my se przynajmniej raz chciel zaśpasować i nie latego, aby was ukrzywdzić, ino coby was od tego panosenia się odzwycaić.

Posiepał się Jędrek Mędrek krzynkę, ale gdyśmy mu wytłomacyli, ze wszyćkie ludzie na świecie są równe, cy bidni, cy bogaci, udobruchał się i przyrzekł, ze bidniejsych nie będzie postponował.

Wartałoby z kuzdem tak zrobić, który la swego majątku ma się za lepsego od chudobnych, boć przecie wiadoma rzec, ze tylko rozum i ućciwość człowieka nad inksych podnieść moze, a nigdy gront, abo inne docesności. Przeciwnie nawet chudobniejsego bardziej sanować nalezy za to, ze on z tą psiąparą bidą się handrycy i za łeb jej się wziąć nie daje.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Indje II.

Kalkutta była stolicą Indyj gdzieś do roku 1912 czy 1913, poczem Anglicy przenieśli ją do Delhi, położonego niemal w samym środku Indyj. Jeżeli mówimy, że przenieśli stolicę, to nie należy rozumieć, jakoby już wtedy Delhi było jakiemś większem miastem. Anglicy postanowili dopiero takie miasto zbudować. I rzeczywiście zabrali się żwawo do roboty. Nagromadzili masę materjałów, wytyczyli ulice, sporządzili plany budynków i zabrali się do roboty. Wkrótce powznosili olbrzymie i piękne gmachy, miasto rosło więc, jak na drożdżach.



Delhi. — Wielki meczet.

Jako powód przeniesienia stolicy z Kalkutty do Delhi podawali Anglicy stare tradycje indyjskie, w myśl których ten tylko może być prawowitym panem Indyj, kto panuje w Delhi, tu bowiem, choć to nie było miasto, ale maleńka dziura, przyjmował od szeregu lat wicekról Indyj wszystkich książąt indyjskich na uroczystych audjencjach. Trzeba było więc zwyczaj ten pogłębić, a miasto podnieść do poziomu miast wielkich.

Taki powód podawali Anglicy, inni jednak podawali powody inne, a mianowicie, że europejscy władcy tej rozległej krainy obawiali się krajowców, którzy mogli przeciw nim wystąpić i z swej ojczyzny ich wypędzić. Do zbrojnej ruchawki nadawała się najlepiej Kalkutta, jako posiadająca w swym obrębie wielu Hindusów, niezadowolonych z rządów angielskich. Że obawy te mogły być uzasadnione, nie trzeba udowadniać, gdyż już obecnie Hindusi coraz wyżej podnoszą głowę, nie chcą słuchać Anglików i żądają niezawisłości.

Jak już powiedzieliśmy wyżej, Anglicy przeniósłszy stolice do Delhi, postanowili utworzyć tu wielkie miasto, prawdziwą stolicę olbrzymiego państwa. Zabrali się więc żwawo do roboty. Oprócz gmachów, przeznaczonych na siedzibę władz, nie zapomnieli też o zbudowaniu świątyń dla wyznawców licznych tamtejszych religij. Najpiękniejszą świątynię wystawili dla mahometan, olbrzymią Dżama Maszid. Jest to, jak twierdzą, największy meczet nietylko w Indjach, ale na całym świecie. Widzimy go na naszym pierwszym obrazku. Śliczny i rozmiarami potężny, jest on zbudowany z czerwonego piaskowca o trzech ogromnych kopułach. Wyniosłe schody kamienne wiodą na platformę, na której się wznosi. Schodami tymi jednak zwykły śmiertelnik przejść nie może; są one przeznaczone tylko dla wicekróla Indyj i jego zastępcy. Inni ludzie dostają się do świątyni mniejszymi, bocznymi schodami.

Front świątyni imponuje okazałością; pełne wdzięku są też smukłe minarety. Wnętrza właściwego, zbudowango niema. W tym klimacie jest to niepotrzebne. Pod kolumnadą jednak i na dziedzińcu meczetu może się pomieścić do 100 tysięcy ludzi.

Ciekawe jest życie w tej stolicy Indyj. Oto ulicami przelewa się rojne mrowisko ludzi. Z tłumu błyska to czerwony turban, to ognisto czerwona szata, to inny strój pełen szkarłatu, złota, barw żółtych, pomarańczowych i wreszcie fjoletu. Nie brak i barw innych, jak niebieskiej, błękitnej, zielonej. Wszystko to gra w słońcu, kłóci się ze sobą i tworzy barwną mozaikę.



Delhi. — Kutab Minar.

Wzdłuż ulic rozsiadają się sklepy. Układ ich jest mniej więcej taki: rozpoczynają szereg sklepów sprzedający zboże. Pod ciemnym, prymitywnym dachem kram, a w nim i przed nim całe piramidy koszów z jedzeniem, grochami i fasolami, pszenicą, mąką, ryżem, cukrem itp. Koło sklepu oblężenie. Wielu kupuje za miedziaka trochę mąki, kaszy lub ryżu oraz soli i zawija to razem w węzeł na rogu szaty. Bogatsi kupują jeszcze za drugiego miedziaka trochę topionego masła lub kwaśnego mleka, zawijając to w tulejkę z zielonego liścia. I mają jeść co na cały dzień. Koszt całodziennego utrzymania nie przenosi na nasze pieniądze kilkunastu groszy.

Po sklepach ze zbożem i pożywieniem następują sklepy a zarazem warstaty złotników, potem apteki, sklepy z ubraniami itd., a wreszcie sklepy z hinduskiemi słodyczami. Po chmarach much można je zdaleka rozpoznać.

Powiedzieliśmy poprzednio, że Delhi było małą dziurą, zanim tam Anglicy przenieśli stolicę państwa z Kalkutty. Ale niezawsze. Świadczą o dawnej jego świetności liczne ruiny, jakie się tam po dziś dzień jeszcze znajdują. Z ruin tych można wyczytać dawną świetność i sławę Delhi. W ruinach leżą przepiękne meczety i świątynie, w ruinach pałace i inne budowle. Rzadko który z tych pomników dawnej świetności jest utrzymany w jakim takim stanie. Najlepiej jeszcze zachował się Kutab Minar, minaret strzelisty na znak zwycięstwa postawiony przed wiekami, któremu do wielkości dopiero wieża Eifla zrobiła konkurencję. Widzimy go na naszym drugim obrazku, i jak to można zauważyć, znajduje on się jeszcze w dość dobrym stanie.

A ruin tych jest tam bez liku. Tworzą one całe miasto wspomnień o dawnej sławie i potędze Indyj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli“ przez K. L.

Wyjął rewolwer z kieszeni, nerwowo drżącemi rękoma odwiódł kurek rewolweru i szybko wymierzył go do niej.

— Żegnaj, Izo, Bóg będzie się opiekował naszem dzieckiem.

Huknął strzał i Iza padła z okrzykiem na ziemię.

Janik słysząc, a raczej widząc, co zamierza uczynić Norden, przypłynął i ostatnią siłą dostał się na pokład. I właśnie przybył w samą porę, bo rzuciwszy się na Nordena, skierował kulę w powietrze.

Iza zaś była tak przerażona i odrętwiona, że zemdlona upadła na ziemię.

Po chwili przyszła do siebie i spostrzegła dwóch walczących ze sobą mężczyzn. Był to Janik walczący z Nordenem.

Iza drżała całem ciałem.

Okropny był dla niej widok mordowanego człowieka, który poświęcił się, aby wydobyć ją z rąk nikczemnego łotra.

Teraz zwycięstwo przechyliło się na stronę Janika, który wydostawszy się ze szponów Nordena, wiązał go powrozami.

Iza uspokojona, zobaczywszy Janika, zapytała, gdzie umieścił jej dziecko, udając się jej na pomoc.

Janik wzruszony odpowiedział jej, że usłyszawszy krzyk hrabianki, dziecko zostawił na polanie i kazał oczekiwać na siebie. Ponieważ jednak oddalili się znacznie od brzegu, więc obawia się, czy dziecku się co złego nie stało.

Iza słuchała przerażona opowiadania Janika. Za to Norden uśmiechał się szyderczo.

Nagle otrząsnęła się Iza ze swej rozpaczy.

— Czy to jest ten brzeg, na którym pozostała Liddy? — spytała, ręką ukazując brzeg, ku któremu dopływali.

— Tak jest, — ten, — wybąknął Janik, którego przeraziła zaszła nagła w kobiecie zmiana.

I rzeczywiście ani się spostrzegł, jak Iza podążyła na koniec statku i stąd rzuciła się w fale morza.

Okropna rozpacz zatargała Janikiem i pozostawiając związanego Nordena na statku, sam rzucił się na ratunek Izy.

25. Norden.

Gdy Norden pozostał sam, tysiące myśli krzyżowało się w jego mózgu. Pozycja, w jakiej leżał, była strasznie niefortunną. Niepodobieństwem zdawało się, aby człowiek w tem położeniu, zdołał się oswobodzić z więzów. To też próbował najrozpaczliwszych wysiłków, szarpał sznury i więzy, lecz tylko zacieśniał je w ten sposób. Spostrzegł wreszcie bezużyteczność swych usiłowań i opuścił zemdlałe ręce.

Pod wpływem okropnych myśli, a przedewszystkiem ze strachu przed Rogerem, odzyskał utracone siły i znów próbował się uwolnić.

Nie było to łatwe. Ale Norden wiedział, że od udania się tego przedsięwzięcia zawisło jego życie i świadomość ta znaglała go do coraz nowych wysiłków.

I rzeczywiście rozplątywał węzeł za węzłem, — mimo, że co chwila musiał odpoczywać, tak bolesną była ta pozycja.

Nagle zdrętwiał cały.

Posłyszał znów wołanie Janika.

Jego surowy dozorca powracał.

Jeszcze jednego rozpaczliwego wysiłku spróbował Norden. Czuł, że krew wytryskuje mu z pod paznokci naprężonych rąk, przy rozplątywaniu sznurów.

Nakoniec, — nakoniec ostatni węzeł został rozwiązany. Sznur opadł, — nogi jego były oswobodzone. Spróbował powstać. Odrazu nie dało się to wykonać, ale wreszcie zdołał się podnieść. Kilka razy odetchnął pełną piersią wciągając powietrze. Teraz był już w stanie opuścić statek. Pobiegł do kajuty po piłkę ostrą i w końcu uwolnił ręce z więzów.

Był wolny. Zajął więc natychmiast miejsce u steru i nim Janik przybył, był już daleko od brzegu.

W tym samym czasie w cieniach lasu po drugiej stronie rzeki, stało dwóch jeźdźców, śledzących bacznie zbliżający się statek.

Byli to Rogers i Sam.

— Morderca sam wpada nam w ręce! mówił Rogers z głębokiem zadowoleniem.

Konie odprowadził Sam poza ścianę pagórka.

Przez ten czas Rogers wypróbował swój karabinek i rewolwer.

Potem obaj mężczyźni drożynami bocznemi doszli nad brzeg, gdzie wyszukali sobie niewidoczny dla płynącego posterunek.

Nie potrzebowali czekać długo.

Niebawem statek przybił do brzegu.

Norden wyskoczył na ląd, wypuściwszy poprzednio parę.

Nie przeczuwając grożącego mu niebezpieczeństwa, szedł niedbałym krokiem, przez gęsty zagaj ku lasowi. Nagle przed nim i za nim równocześnie rozległ się silny, złowrogi odzew:

— Kto tam?

Wraz z tem zabrzmiał trzask odwodzonych kurków.

Norden stanął przerażony.

On sam był bez broni.

Stał chwilkę, jakby nieżywy. Potem pomknął jak cień ku najbliższemu drzewu. Nie dotarł doń jeszcze, jak huknęły dwa strzały.

Okrzyk wściekłości i bólu wyrwał się z ust prześladowanego.

Pułkownik i Sam wyskoczyli z zasadzki.



Sam rzucił się na ratunek Izy.

— Rychło kajdanki, — rychło, abyśmy go...

Nie dokończył. Szybkością błyskawicy podniósł się Norden i ukrył się za potężnym pniem drzewa magnoljowego.

— Baczność Sam, — krzyczał Rogers, podnosząc rewolwer, — prędko, naprzód — mamy łotra w dwa ognie!

Jak tygrys poskoczył czarny ku drzewu.

Zapóźno.

Norden znikł właśnie w gąszczy.

Znowu huknęły dwa strzały.

— Prędko, — przyprowadź konie, Sam, nie dajmy mu umknąć. Murzyn rzucił się na kraniec lasu, Rogers zjawił się na miejscu, gdzie przed chwilą był Norden.

Zdumiał się.

Ślady krwi zaznaczyły mech i korę drzewa, o które oparł się raniony.

Sam zjawił się z końmi.

— Szybko wsiadać, — zawołał pułkownik, — on raniony — idźmy za śladem krwi, — nie ujdzie nam.

Poczęły się łowy na śmierć i życie.

Okryty potem, — stękając, zdrapany gęstymi krzakami, przedzierał się Norden z ogromnym trudem naprzód.

Z rany na ramieniu ściekała krew, siły go opuszczały. Wyciągnął chustkę do nosa, zębami i palcami niezranionej ręki usiłował przewiązać ranę. Udało się, krew nie ściekała więcej na ziemię. Ale był znużony śmiertelnie. Ostatniemi siłami podpełznął ku gąszczy, padł pod rozłożystem liściem południowej paproci.

Usłyszał wyraźnie tętent końskich podków, głosy wroga.

— Niema śladu więcej, — rzekł Rogers. Musi być gdzieś tutaj. Przypnijmy konie, obszukajmy wszystko dokładnie.

Zbliżali się ku miejscu coraz bardziej.

Norden przyszedł trochę do siebie. Chciał podnieść się i szukać gęstszego schroniska.

Ale zauważył go już Rogers. Padł strzał i Norden upadł, poddając się swemu losowi. Wtem posłyszał nad sobą parskanie konia. Drżącą ręką odpiął najbliższego konia od drzewa, — był to koń Sama, — wskoczył nań, puścił się do ucieczki.

Był wyśmienitym jeźdźcem, poczuł to koń, leciał jak wicher.

Krzyk wściekłości wyrwał się z ust prześladowców.

— Pędź za nim, massa! Ja pobiegnę za nim razem równo z koniem.

Norden dostał się do krańcu lasu.

Popędzał znużonego konia, aż dopóki nie ukazały się pierwsze domy miasta. Ramię bolało go okropnie. Musiał zawezwać pomocy lekarza.

Spostrzegłszy jakiegoś rębacza na chutorze, zapytał o lekarza i prosił go o zatrzymanie konia do jutra, ofiarowując mu za fatygę dolara.

Gdy przybył do miasta, natychmiast udał się do lekarza. Tutaj otrzymał opatrunek, na który wydał ostatnie cztery dolary. Następnie udał się na noc do gospody.

24. Dobrzy ludzie.

Iza rzuciwszy się w wodę, przepłynęła do przeciwnego brzegu, chcąc odszukać swe ukochane dziecko. Zmęczona przebytą drogą chwilę odpoczęła i poczęła iść w stronę poblizkiego lasu, myśląc, że tam schroniło się jej dziecię.

Po drodze, napotkała Milly, która zaniepokojona o Liddy, również udała się na jej poszukiwanie.

Daremne jednak były ich wysiłki, dziecka nie znalazły, natomiast spotkały Janika, który odtąd zaopiekował się Izą, Milly zaś wróciła do ojca.

Iza nieodszukaniem dziecka, była ogromnie przygnębiona. Antoni silił się wciąż pocieszać ją.

— Pani jesteś chora śmiertelnie, musisz się pani szanować, dlatego też, nie powinnaś więcej trudzić się szukaniem, ja sam to czynić będę.

— Wiem ja o przywiązaniu waszem dobrze, cóż mi to jednak pomoże, jeśli mi nie wróci dziecka, które przepadło, a może już nie żyje!

— Nie przepadło i żyje, proszę tylko ratować siebie, dzieckiem zaś, ja się zajmę...

Słychać było trzaskanie z bicza, pokazały się przy słabym blasku gwiazd zarysy powozu.

Nagle konie parsknęły i rzuciły się w bok.

— Co tam takiego? — dał się słyszeć nizki głos z powozu.

— Może wilki sir, — odpowiedział woźnica, starając się przelękłe konie skierować na drogę.

— Gdzie tam wilki. To zapewne dwunogie wilki. Masz tam strzelbę i rewolwer na pogotowiu?

— Zaraz sir, — odpowiedział woźnica.

Kurki zgrzytnęły.

— Nie strzelać, — dał się słyszeć głos z gęstwiny. My nie rabusie, my tylko zabłąkani wędrowce.

— Ba, bratku, my nie głupi, nie bój się! Znamy się na takich żartach... Ano marsz mi z drogi — bo...

— Ach wysłuchajcie na chwileczkę, — dał się słyszeć głos kobiecy.

Iza prosiła i wstała z trudem z ziemi.

Powóz zatrzymał się.

— To coś, jakby głos damy, — dało się słyszeć z powozu.

— Zlitujcie się nad nami, — błagała Iza. Noc nas zaskoczyła, jesteśmy przeziębnięci, zmoczeni, — nie starczy nam sił iść dalej.

— Ale skądżeście ludzie?

— Zgubiłam, nieszczęsna, moje dziecię. Zbłądziło. — Szukamy właśnie za niem.

Siedzący w wozie naradzali się parę minut, słychać było także głos damski.

Wreszcie zadecydowali, Izę wzięli do powozu, Janik zaś miał udać się na poszukiwanie Liddy.

Szybko toczył się powóz po równinie.

Na wschodzie było już jasno, dzionek nadchodził.

Podróżni dopiero teraz przyglądali się swojej nowej towarzyszce.

Iza obwinęła się przed zimnem nocy podanym sobie szalem, a pierwszy blask świtu, spoczął na jej obliczu.

— Dzień dobry, miss, lepiej już pani, — zapytał dobrodusznie pan, a jego uczciwe oczy patrzyły ze zdziwieniem na śliczne, blade oblicze Izy.

— Dziękuję serdecznie, — ozwała się smutno, — czuję się lepiej, tylko głowa pali mię jakby płomieniem.

— A jakby pani tak pociągnęła sobie haust whisky? hę? To działa bardzo dobrze. Ogrzewa.

— Ale tatku, to przecież nie dla damy! — ozwała się dama do męża. — Może pani pozwoli trochę mleka? — dodała.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Okpiony włamywacz.

Groteska.

Iwan był prostym, skromnym człowiekiem. Był z zawodu złodziejem i obchodził właśnie jubileusz: 25-lecie swej działalności. Uroczystość ta odbywała się w szynku „Pod nocnym ptakiem".

Gdy o świcie opuścił szynk, udał się na przedmieście i dostał się w odludną uliczkę. Zwróciła jego uwagę samotna wlla. Czy nie możnaby tu popróbować? — pomyślał.

— Po co ludzie na parapecie okna stawiają doniczki? — snuło mu się po głowie. Gdy się już wyciśnie okno, łatwo wywrócić taką doniczkę; mieszkańcy domu budzą się i djabli biorą całą wyprawę... Łatwo się wkopać...

Więc z wielką ostrożnością zabrał się do roboty; czasu wiele do namysłu nie miał: na dworze stawało się coraz jaśniej... Wycisnął z wielką ostrożnością szybę, usunął doniczki, przelazł przez okno i po minucie stał już na parapecie okna, wpatrując się bystro w ciemny pokój. Potem zszedł z parapetu i ostrożnie począł stąpać po posadzce.

— O do licha!

Noga jego potknęła się o coś miękkiego, wielkiego, nieporuszanego. Zachwiał się, chwycił ręką poręcz krzesła, krzesło zderzyło się ze stołem, lampa na stole wydała głośny brzęk. Iwan przykucnął pod stołem...

Po chwili zjawił się na progu pokoju jakiś człowiek z lampą w ręce. Skierował światło lampy na wszystkie strony i niebawem odkrył włamywacza.

Iwan odrazu zrozumiał, że pozostaje mu jedynie ratunek w ucieczce; podskoczył, by pobiec do okna. Ale człowiek z lampą uprzedził go: zagrodził mu drogę. Potem człowiek z lampą usiadł na parapecie okna i rzekł spokojnym tonem:

— Bardzo się przestraszyłeś?

— Tak — rzekł Iwan wielce zakłopotany — przestraszyłem się.

— Jakże można być takim nerwowym! Nie lękaj się. Właściciela willi niema w domu.

Iwan spojrzał zdumiony na mówiącego.

— Hm... tak... a kim pan jest?

— Ja? Zgadnij.

Iwan rozglądał się po pokoju, spojrzał na związany worek na podłodze... na otwartą szufladę biurka... O ten worek właśnie potknął się. Wreszcie spojrzał na uśmiechniętą twarz siedzącego na parapecie okna.

— Coś takiego!... A ja myślałem, że natknąłem się na właściciela domu! Więc i ty też jesteś włamywaczem? Chciałeś też kraść? Czy jesteś sam?

— Tak, zupełnie sam.

— A jak się tu dostałeś? Przecież drzwi i okna były zamknięte?

— Ja? Miałem podrobiony klucz. Otworzyłem drzwi i zamknąłem je za sobą, by mi nikt nie przeszkadzał.

— A gdyby wrócił gospodarz?

— Nie wróci... Gra całemi nocami w karty w klubie i wraca dopiero około siódmej. Możemy zupełnie spokojnie pakować i o godzinie szóstej wszystko wywieść.

— Wywieść? — zapytał Iwan zdumiony.

— A coś ty sobie myślał? Jestem nowoczesnym złodziejem i pracuję wedle nowych metod. Wy ze starej szkoły złodziejskiej nie nauczyliście się nowych systemów. Pracujecie po partacku, bez zastanowienia, bez finezji. U was rzeczą najważniejszą jest dostać się przez okno, cośkolwiek skraść i uciec. Nie, mój drogi, trzeba iść z duchem czasu!

— A jak ty pracujesz? — zapytał Iwan i usiadł na worku.

— Ja? Planowo. Cały tydzień zużyłem na obserwację. Wszystko zbadałem: jak mieszka gospodarz, co robi, gdy wraca do domu, kiedy wychodzi z mieszkania. Wiem, że ma lokaja, który nie nocuje w domu, że gospodarz o ósmej wieczorem idzie do klubu, że gra tam przez całą noc i wraca o siódmej rano. Tymczasem willa jest opuszczona. Widzisz, tak musi pracować nowoczesny złodziej.

— A więc nie wraca przed siódmą?

— Z pewnością. Jestem doskonale poinformowany. Słuchaj! Postanowiłem całą willę wyprzątnąć. Na tem odludziu nikt nic nie dojrzy. Na godzinę szóstą zamówiłem dwa ciężarowe auta. Są to moi ludzie i wyniosą wszystko.

Iwan zawołał pełen podziwu:

— Bajecznie! Całe mieszkanie?

— Tak, wszystko. Już niejedno zdołałem spakować.

— Czy chcesz, bym ci pomógł?

— Dlaczego nie! Pomagaj! Czas to pieniądz! Do roboty! Ja wypróżnię biurko, a ty najpierw zdejm ze ścian obrazy, a potem spakuj książki z bibljoteki.

Bezczelność nieznajomego złodzieja imponowała Iwanowi. Zdjął posłusznie ze ścian obrazy, wyjął z bibljoteki książki i związał je w większe paczki.

— Tak, tak — rzekł — nowocześni złodzieje są zuchami!

— Nie mów tyle. Szkoda czasu. Trzeba się spieszyć. Włóż lampę do skrzyni. Ostrożnie! Lampa jest z porcelany!

Iwan pracował z całych sił: pakował, wiązał, układał i pełen podziwu patrzał, jak wytrawnie wydaje mu „nowoczesny złodziej“ zarządzenia. Ten bowiem usiadł wygodnie w fotelu, zapalił papierosa i przypatrywał się pracy Iwana.

Około szóstej zajechały dwa ciężarowe auta. Wszystko było spakowane i związane. Iwan ze zmęczenia ledwo trzymał się na nogach. Chciał także zapalić papierosa, ale towarzysz jego zwołał:

— Nie palić! Wynoś skrzynie i wory. Musimy się spieszyć, by nas nie zaskoczono!

— A dlaczego ty nie pomagasz? — zapytał Iwan.

— Bo pracowałem przed tobą. Widzisz, jeszcze pół godziny, a będzie po wszystkiem.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Na dworze było zimno. „Nowoczesny złodziej“ przystąpił do aut i przypatrywał się obojętnie pracy Iwana i dwóch posługaczy, którzy umieszczali we wnętrzu aut wyniesione z domu rzeczy.

— Czy jesteście już gotowi z wszystkiem?

— Tak, już wszystko zniesione.

Teraz zwrócił się do Iwana i rzekł, śmiejąc się:

— Możesz sobie teraz pójść...

— Pójść? — zawołał Iwan zdumiony — a rzeczy?

— Jakie rzeczy?

— Te, które pakowaliśmy.

— Czy to są twoje rzeczy?

— Ale też i nie twoje!

— Mylisz się, bratku, wszystko to jest moje...

— Więc ty jesteś gospodarzem?

— Czy nie mówiłem ci, że wy, starzy złodzieje, jesteście durniami? Kim ja jestem? Naturalnie, że jestem gospodarzem. Dziś się przeprowadzam. W nocy pakowałem. Przyszedłeś i pomagałeś mi. Nie miałem nic przeciw temu. Raz przynajmniej uczciwie zarobiłeś na chleb. Nie chcę wyzyskiwać cudzej pracy... Oto masz...

I wcisnął w rękę Iwana srebrnego rubla.

Potem wsiadł do auta i odjechał szybko.

Słońce już przygrzewało, gdy Iwan kroczył pustą uliczką. W pięści ściskał rubla, którego zarobił uczciwą, trzygodzinną pracą... Rubel ten parzył go jak ogień.

Gdy mijał most, cisnął z wściekłością rubla do rzeki. Podwójnie go bolało, że ten pech przydarzył mu się właśnie w dzień jego jubileuszu... A właściwie rad być powinien, iż mu się gorzej nie powiodło, że go nie związano i tem samem autem nie odstawiono na policję...

Ze spuszczoną głową wrócił do szynku.

Arkadjusz Awerczenko.



Poradnik gospodarczy.

Hodowla kalafjorów.

Kalafjory należą do roślin bardzo wymagających. Potrzeba, żeby ziemia, na których one udać się mają, była dostatecznie wilgotna, zasobna w pokarmy roślinne, przepuszczalna i ciepła i możliwie w kulturze starej i dobrze wynawożona.

Uprawa ziemi pod kalafjory zależy od sposobu hodowli, ponieważ mogą one być hodowane jako warzywo wczesne lub późniejsze. Pod wczesne odmiany nawozimy w jesieni; nawóz zaorujemy i zostawiamy ziemię w ostrej skibie przez zimę a na wiosnę włóczymy i bronujemy, a ewentualnie drapaczujemy i bronujemy ziemię. W ziemiach lżejszych przed samem sadzeniem pod znacznik może być potrzebne walcowane ziemi. Przy uprawie kalafjorów późnych po przedplonie, jest potrzebna orka, bronowanie, walcowanie i ewent. jeszcze lekkie bronowanie przed znacznikiem. Jako przedplon mogą służyć wczesne warzywa, jak szpinak, wczesna marchewka, sałata a nawet mieszanka na zieloną paszę.

Wobec tego, że od dobroci nasienia zależy udanie się uprawy, nie trzeba na nasieniu chcieć oszczędzać. W jednym gramie jest przeszło 300 sztuk nasion, a ponieważ sadzimy kalafjory, zależnie od odmiany — wcześniejsze gęściej, a późniejsze rzadziej, to jest na odległość od 50×50 do 60×60 lub 70×60 cm. potrzebujemy na 1 ar czyli poletko o wymiarze 10×10 m., czyli 100 m. kw., 400 sztuk rozsady wczesnej odmiany lub przy późniejszych odmianach, które tworzą większe rośliny, tylko 280 sztuk. Licząc na to, że nie wszystkie nasiona wzejdą, a nie wszystkie roślinki wyrosną w dobrą rozsadę, wysiewa się zwykle parokrotnie więcej nasion, aniżeli rozsady potrzeba, a więc na mórg potrzeba do 240 gramów nasienia (około 38.000 sztuk nasion). (Siłę kiełkowania zachowuje nasienie od 4 do 5 lat).

Czas wysiewu kalafjorów zależy od odmiany i od tego, kiedy róże sprzątać zamierzamy. Okres wegetacyjny wczesnej odmiany wynosi do 25 tygodni od chwili wysiewu do sprzętu róż kalafjorów, a u odmian późnych do 30 tygodni. Wczesne odmiany wysiewamy w ciepłe inspekta w marcu, przyczem od kwietnia do maja odbywa się wysadzanie rozsady z uwzględnieniem jednakże u kalafjorów większej aniżeli u innych roślin kapustnych wrażliwości na zimno. W marcu i kwietniu możemy na chłodnych inspektach wysiać kalafjory późne, których rozsadę w kwietniu i maju wysadzamy w grunt. Przy wyhodowaniu rozsady trzeba rozsadę przez wietrzenie przyzwyczaić powoli do temperatury, jaką w wolnym gruncie mamy.

Wielką szkodę nieraz wyrządza grzybek niszczący szyjkę korzeniową, tak zwana „czarna nóżka“. W inspektach z zdrową, co rok świeżą ziemią inspektową, do której wapna dodano, grzybek mało występuje. Przeciwko pchłom ziemnym stosuje się lekkie posypywanie roślin pyłem wapiennym, sadzami lub popiołem drzewnym. Dostatecznie silną rozsadę sadzimy w grunt. Maczanie korzeni przed sadzeniem w papce z gliny, krowieńca i kompostu, zmieszanemi z wodą lub gnojówką znakomicie ułatwia rozsadzie przyjmowanie się. Po sadzeniu choć raz polewamy rozsadę. Dalsza hodowla sprowadza się do motyczkowania, pielenia i obgartywania czyli okopcowania kalafjorów. W czasie deszczów można też stosować zasilanie gnojówką i nawet sztucznemi nawozami; w czasie posuchy podlewamy rośliny. Gdy się zaczną tworzyć róże kalafjorowe, załamujemy nad niemi liść, aby róże pozostały białe. Róże dorośnięte dostatecznie wycinamy i sprzedajemy. Przy odmianach późnych może się zdarzyć, że do nastania mrozów kalafjory nie utworzą róż. Takie rośliny wyjmujemy z korzeniami i hodujemy w ciepłej piwnicy w piasku wilgotnym lub w inspektach i nakrywamy je oknami. Tu później utworzą się róże.

W celu lepszego wyzyskania pola obsadzongo kalafjorami, stosują niektórzy hodowcy podsadzenie kalarepą i sałatą, rzodkiewką a nawet ogórkami. Ma to szczególniej miejsce przy odmianach późnych.

KRONIKA.

Nowy rząd polski. W niedzielę 14 b. m. prezes Rady ministrów Dr Kazimierz Bartel ustąpił a z nim cały dotychczasowy rząd polski. Pan Prezydent Rzeczypospolitej powierzył utworzenie nowego rządu Dr. Kazimierzowi Świtalskiemu dotychczasowemu ministrowi oświaty. Do nowego rządu weszła większość dotychczasowych ministrów z wyjątkiem premjera Bartla, którego miejsce zajął Dr Świtalski, zaś w miejsce Dra Świtalskiego ministrem oświaty został Sławomir Czerwiński, ministrem pracy w miejsce p. Jurkiewicza pułkownik Aleksander Prystor, w miejsce p. Miedzińskiego ministrem poczt inż. Ignacy Boerner, zaś tekę skarbu po p. Czechowiczu objął jako kierownik p. Ignacy Matuszewski. Zmiana rządu nastąpiła dlatego, iż poprzedni rząd nie mógł sobie dać rady z sejmem, którego większość na każdym kroku ten rząd zwalczała. Obecny rząd albo będzie się starał sejm pokonać, albo będzie rządził bez sejmu. Dodać należy, że ministrem spraw wojskowych został nadal Marszałek Piłsudski, który właściwie tym rządem będzie kierował.

Olbrzymi kanał wodny. Jak donoszą z Warszawy, w ministerstwie robót publicznych jest omawiany plan budowy olbrzymiego kanału wodnego w Polsce. Kanał ten biegłby od Czarnej Przemszy na Śląsku poprzez Zagłębie, Łódź i łączyłby się z Wisłą pod Płockiem. Budowa takiego kanału umożliwiałaby transportowanie węgla drogą wodną zarówno dla ośrodków przemysłowych jak i do Gdańska, a dzięki tańszym kosztom transportu, przyczyniłaby się do opanowania rynku europejskiego i rynków wschodnich. Koszta skonstruowania takiego kanału mają wynosić około 106 miljonów złotych.

Śmierć dwóch staruszek w płomieniach. Z Makowa donoszą: Dnia 10 b. m. o 1 w nocy wybuchł pożar w starym domu drewnianym Jana Koska w Makowie, który w kilku minutach objął cały dom i doszczętnie go zniszczył. W płomieniach poniosły śmierć żona Koska Anna, lat 68 i jej siostra Marja Klimała, lat 70, obie kobiety były chorowite i z braku pomocy nie mogły same wyjść z mieszkania. Szkoda wyrządzona przez pożar wynosi 5.000 zł. Przyczyną pożaru było nieostrożne obchodzenie się z ogniem w izbie, w której znajdowało się mnóstwo nagromadzonych rupieci. Sąsiednie zabudowania położone bardzo blisko były narażone na niebezpieczeństwo, jednak akcja ratownicza straży pożarnej i miejscowej ludności zapobiegła rozszerzeniu się pożaru.

Walka kolejarza z bandytami. W ubiegły wtorek wieczorem z głównego dworca towarowego we Lwowie wyruszył pociąg towarowy na przestrzeni Lwów-Stanisławów. Na jednym z wagonów służbę pełnił Stanisław Kopaczek, hamulcowy kolejowy. Gdy pociąg ten po opuszczeniu terenu dworcowego w powolnem tempie przejeżdżał pod sklepieniem mostu czerwonego przy Drodze Lubieńskiej, nagle na platformę wagonu, na którym jechał Kopaczek, wskoczyli dwaj nieznani mu osobnicy, którzy mieli zamiar obrabować ten wagon. Nie spodziewali się oni jednak spotkać tam z Kopaczkiem. Odruchowo obaj złodzieje rzucili się na Kopaczka, usiłując za wszelką cenę wytrącić go z wagonu. Kopaczek jednak napastnikom stawił silny opór, toteż oni narzędziami żelaznemi poranili mu nogi i ciężko go pobili, poczem z obawy, aby ich nie przytrzymano, zeskoczyli z wagonu pociągu będącego w ruchu, a dojeżdżającego do stacji w Sichowie. Dzięki zdecydowanej postawie Kopaczka, złodzieje nie rozbili wagonu i nie popełnili w nim kradzieży. Wagon ten był naładowany towarami tekstylnymi. Dzielny kolejarz z narażeniem własnego życia obronił cudze mienie od rabunku.

Zwyrodniały zięć. We wsi Rakowiec powiatu lwowskiego piękne gospodarstwo ma tamtejszy mieszkaniec Marcin Galanty, który przed dwoma laty córkę swoją wydał zamąż za Antoniego Bandarowskiego, rolnika, liczącego obecnie 27 lat. Od niejakiego czasu Bandarowski z rodzicami swej żony i z nią samą prowadził kłótnie, wynikające z pożycia małżeńskiego i gospodarki na roli. W ubiegłym tygodniu Bandarowski popadł w sprzeczkę z żoną swoją, do czego wmieszali się teściowie, co Bandarowskiego wprawiło w jeszcze większą złość. W czasie awantur postanowił on już raz skończyć z teściami i żoną i gdy sprzeczka doszła do ostrego starcia Bandarowski dobył nabitego rewolweru i oddał strzał najpierw do teściowej. Widząc to teść chciał Bandarowskiemu wydrzeć rewolwer, ten jednak w szamotaniu zdołał i do niego oddać strzał, a wkońcu dobytym nożem zadał kilka kłutych ran, poczem rzucił się na swą żonę. Ciężko rannego Marcina Galantego, jego żonę i córkę przewieziono do szpitala we Lwowie. Zbiegłego zwyrodnialca poszukuje policja,



Skutki pijaństwa. Dnia 6 b. m. wieczorem, odbyła się we wsi Chechło, pow. olkuskiego, libacja w domu niejakiego Sękali. Na tę libację przybyła sąsiadka Sękali, mieszkanka wsi Chechło, Jadwiga Musiorska, lat 78. Po wypiciu trzech butelek wódki (uczestników było czworo) Musiorska, około godz. 10 wieczór, udała się do domu, ale pomyliła się kierunkiem i zamiast iść do domu, wyszła za wieś i zaczęła błądzić po okolicznych polach. Na drugi dzień rano, zaniepokojona nieobecnością Musiorskiej rodzina, zaczęła poszukiwania i dopiero koło godz. 11 rano wnuczek wraz z mężem Musiorskiej odnaleźli ją zmarzniętą w lesie, w odległości 4 klm. od Chechła i zamieśli ją do pobliskiego tartaku dworskiego, gdzie zaczęli ją cucić. Ale ani rozcierania, ani wlewania gorącej herbaty i nakrywania pierzynami nie mogły wskrzesić zmarłej.

Obłęd „arcybiskupa“ marjawickiego. Do jakich warjactw dochodzą duchowni marjawiccy, świadczy najnowszy fakt, jaki się zdarzył w Płocku. Oto w Wielki Czwartek osławiony „arcybiskup“ marjawicki, Kowalski, który niedawno został skazany przez sąd na więzienie za prowadzenie niemoralnego życia z „zakonnicami“ marjawickiemi, otóż ten Kowalski udzielił „święceń kapłańskich“ kilku „zakonnicom“, a swoją tak zwaną „mistyczną małżonkę“, Wiłucką, „konsekrował“ na biskupkę. Ponieważ zapowiedź tych „święceń“ nawet wśród wielu marjawitów została przyjęta z wielkiem niezadowoleniem, zdawało się, iż Kowalski poniecha swego zamiaru dla nieodstręczania sobie reszty zwolenników. Stało się jednak inaczej. W obawie przed swymi buntującymi się wiernymi Kowalski postarał się tylko o silną eskortę policyjną i w asystencji oddziału policyjnego oraz garstki gapiów dopełnił w Wielki Czwartek w świątyni płockiej owej parodji święceń. Cała ta bluźniercza

komedja odbywała się według rytuału rzymskiego w języku polskim. Wiłuckiej zamiast mitry biskupiej włożono na głowę koronę z welonem. W pierwszy dzień Wielkiejnocy odbyły się prymicje „biskupie“ Wiłuckiej. Komedjantka, przybrana w albę i ornat kroju rzymskiego, w fantazyjnie haftowanym i zawiązanym na głowie welonie, z pastorałem w ręku, otoczona czterema „dziewicami-kapłankami“, oraz nieodłącznym Kowalskim, parodjowała Mszę św. Po „Wierzę“ weszła na ambonę i wygłosiła kazanie, będące takim samym stekiem nonsensów i bluźnierstw, jakie zawierają pisma Kowalskiego. Wszystkie te historje wzburzyły najpotulniejszych nawet wyznawców marjawityzmu.

Akademik hersztem bandytów. W Warszawie ujęto szajkę bandycką, zorganizowaną przez syna zamożnych ziemian, studenta 4-go roku medycyny uniwersytetu warszawskiego, Józefa Bujnowicza. Szajka ta złożona była z notorycznych złodzieji dla dokonywania mordów rabunkowych. Wywiadowcy ujęli Bujnowicza w chwili, gdy dusił żonę właściciela kina Brodecką w jej mieszkaniu. Aresztowano także dwóch złodzieji, którzy stali na czatach. Szajce chodziło o zdobycie większej kwoty celem wyjazdu za granicę. Niema co mówić, ładny akademik! Ale biedni ci rodzice, których syn okrył taką hańbą.

Uparta samobójczyni. Dzienniki warszawskie podają wiadomość o prawdziwym fenomenie. Jest nim 20-letnia Stanisława Arońska, przystojna blondyneczka, zamieszkała w Warszawie. Fenomenem jest ona dlatego, że parokrotnie już usiłowała odebrać sobie życie — rzucała się pod tramwaj, wyskakiwała z okna, tonęła w Wiśle — i zawsze bez powodzenia, gdyż zawsze wychodziła bez szwanku z tych imprez samobójczych. Skądże jednak w tak młodej panience taki wstręt do życia, że chciałaby się go pozbyć na gwałt? Oto panna Stasia ma kawalera, lecz niestety kawaler ten jest człowiekiem żonatym. Ponieważ ojciec panienki nie chce zgodzić się na tego rodzaju amory swej córki, wynikają na tem tle między nimi częste nieporozumienia, kończące się zamachami samobójczymi ze strony rozmiłowanej panienki. Lecz śmierć nie chce zabierać tak młodego życia i ze wszystkich opresyj Stasia wychodzi cało. Onegdaj po gwałtownej sprzeczce z rodzicami weszła do klatki schodowej pewnego domu i skoczyła z okna drugiego piętra na podwórze. Ku zdumieniu świadków tej sceny, zerwała się natychmiast z asfaltu, poprawiła sukienkę i, po chwilowym namyśle zawróciła do sieni.

— Trzymajcie ją! — wołał dozorca.

Na schodach zadudniły kroki i panna Stasia powtórnie wbiegła na drugie piętro i, nim ktokolwiek zdążył przytrzymać ją, rzuciła się oknem głową ku dołowi. Spadając wywinęła koziołka i, jak za pierwszym razem, bez najmniejszego szwanku znalazła się na ziemi.

— Ha! Teraz cię nie puszczę! Już ty mi trzeci raz nie skoczysz! — krzyczał dozorca, chwytając wpół pannę Stasię.

Tymczasem ktoś zaalarmował Pogotowie, dano też znać do komisarjatu. Lekarz dość długo badał stan desperatki i, nie znalazłszy nic złego, odjechał. Do sprawy wdała się policja. Dziewuszkę zabrano do komisarjatu, następnie posterunkowy odwiózł ją do domu i oddał pod opiekę rodziców.

Niesamowity pomysł oszusta. Przed dwoma mniej więcej laty, mały folwarczek koło Działdowa wydzierżawił Hugo Klein. Był to człowiek młody, liczący lat około 30. Nie odznaczał się bynajmniej usposobieniem towarzyskiem, lub skłonnem do wynurzeń. Z sąsiadami stosunków nie utrzymywał, zresztą mało przebywał na wsi. Klein, po wydzierżawieniu folwarku, zaasekurował się w gdańskiem Towarzystwie ubezpieczeń na życie na sumę 50.000 dolarów. W ciągu dwu lat regularnie wpłacał wkładki ubezpieczeniowe. Ostatnio do gdańskiego Towarzystwa zgłosił się jakiś szczupły, niski mężczyzna. Podał się za brata Hugona Kleina.

— Właśnie brat mój, Hugo zmarł — oświadczył, przedstawił zaświadczenie lekarskie, stwierdzające skon i jako jedyny spadkobierca prosił o wypłacenie mu premji ubezpieczeniowej.

Towarzystwo wydelegowało do Działdowa swego agenta, który obecny był na pogrzebie Kleina, polecając mu zbadać lekarza, który podpisany był na akcie zgonu. Tymczasem lekarz stwierdził z całą stanowczością, że żadnego świadectwa nie podpisywał i o niczem nie wie. Sprawa zaczęła przybierać wręcz sensacyjny obrót. Tow. ubezpieczeniowe zwróciło się do władz o pozwolenie na ekshumację zwłok Hugo Kleina. Gdy otworzono trumnę, oczom obecnych przedstawił się niesamowity widok. W trumnie leżała woskowa lalka. Chuda, żółtą twarz zdobił czarny, rzadki wąs... Zawiadomiona o tem niezwykłem oszustwie policja, wdrożyła dochodzenia. Okazało się, że do Towarzystwa asekuracyjnego zgłosił się sam Hugo Klein, podający się za zmarłego brata. Dla niepoznania zgolił swe rzadkie wąsiki i zmienił charakterystyczną pelerynę na palto. Przypomniano sobie teraz dopiero, że ten rzekomy brat był uderzająco podobny do nieboszczyka. Ten sam głos, te same ruchy, ta sama postawa. Porównano charakter pisma na deklaracji z przed dwu lat i obecnie na różnych dokumentach, które Klein musiał wypełnić. Pismo było to samo. Za zbiegłym rozesłano listy gończe.

Żydówka z brodą w trumnie. Zabawny wypadek zdarzył się w szpitalu w Kijowie. Umarła tam pewna stara żydówka. Słudzy szpitalni zamiast zmarłej żydówki złożyli przez omyłkę do trumny dla niej przeznaczonej zwłoki pewnego staruszka i przewieźli wieczorem trumnę z ciałem na cmentarz żydowski do tamtejszej trupiarni.



Gdy nazajutrz krewni owej zmarłej po raz ostatni przyszli oglądać ciało zmarłej, przerazili się okropnie, bo, odchyliwszy śmiertelną koszulę, zamiast żydówki ujrzeli ku swemu zdziwieniu mężczyznę z brodą. Zaczęli krzyczeć! „Aj, waj, gewałt!“ i robić awanturę. Doniosło się to zaraz do szpitala i pomyłkę naprawiono.

Głód na Litwie. Z Litwy kowieńskiej donoszą o katastrofie, jaka zagraża temu małemu państewku W dziesięciu powiatach północnych na ogólną ilość 24 powiatów Litwy wskutek nieurodzaju panuje głód. Tysiące mieszkańców, szczególnie w powiecie szawelskim, głoduje w całem tego słowa znaczeniu i zdanych jest na pomoc z zewnątrz.

Zdjęcie szat kapłańskich. W katedrze kowieńskiej na Litwie odbyła się rzadka ceremonja zdjęcia

szat kapłańskich z księdza prałata Olszewskiego, oskarżonego o morderstwo, popełnione w parku uzdrowiska nadmorskiego w Połądze na pewnej kobiecie. W katedrze podczas tej ceremonji zapalono wszystkie świece i zebrali się prawie wszyscy księża z całego Kowna z arcybiskupem kowieńskim na czele. Wszyscy oni przywdziali uroczyste szaty. Przy dźwiękach organów prowadzono prałata Olszewskiego, który niósł w ręku kielich. Gdy prałat Olszewski przystąpił do ołtarza, wszystkie światła pogasły. Arcybiskup odebrał Olszewskiemu kielich, a dwaj księża zdjęli z oskarżonego suknie kapłańskie. Uroczystość ta odbyła się wśród grobowej ciszy i wywołała wielkie wrażenie na obecnych. Ks. Olszewski, znany polakożerca, prowadził w ostatnich latach życie rozwiązłe, słusznie go też spotkała tak straszna kara.

Podpalacz z rozpaczy. Jeden z najstarszych kościołów norweskich zbudowany przed wiekami z drzewa, a zawierający liczne cenne dzieła sztuki i obrazy t. zw. kościół Volda w Oslo, stolicy Norwegji, stał się ofiarą pożaru. Kościół podpalił 60-letni starzec, który zapewniał, że popełnił czyn ten z rozpaczy, albowiem żyjąc od lat w strasznej niezgodzie z córką, postanowił dostać się do domu karnego na całe życie, aby się uwolnić w ten sposób a zarazem zabezpieczyć swój byt.

Tragedja Hindusów w Berlinie. Olbrzymie wrażenie wywołało w Berlinie morderstwo i samobójstwo dwóch zamieszkałych tam Hindusów, dokonane na tle zupełnie niezwykłych dla europejskich stosunków wydarzeń. Przebieg oraz tło wypadków przedstawia się następująco: Przed 7 laty przybył do Berlina 22-letni Nazir Mohamed. Wkrótce zdobył on olbrzymi majątek i nabył 13 kamienic w Berlinie. Nazir Mohamed posiadał tak zwanego brata krwi, którego pozostawił w Indjach. Stosownie do zwyczajów religijnych hinduskich, osoba z którą zawarło się t. zw. braterstwo krwi, jest najbliższą istotą na ziemi, bliższą, aniżeli krewni, z którą dzielić należy także życie i majątek. Nazir Mohamed sprowadził swego 8 lat starszego brata krwi Ali Zarema do Berlina i uczynił go wspólnikiem swoich interesów eksportowych. Po pewnym czasie Ali Zarema począł tracić majątek swego brata krwi. Nazir Mohamed znosił to tak długo, dopóki w sprawę nie wdała się osoba trzecia — kobieta, w której zakochał się i poślubił ją. Pod wpływem żony, z pochodzenia Niemki, osoby bardzo trzeźwej, stosunki Nazira do Zarema pogorszyły się. Kiedy Nazir Mohamed pragnął się pozbyć swego brata krwi, wspólnik udał się do sądu religijnego berlińskiej kolonji hinduskiej. Przed tym sądem obradującym pod przewodnictwem profesora hinduskiego Hawerema, stanęli obaj bracia krwi. Nazir Mohamed, zdenerwowany przebiegiem rozprawy, podszedł nagle do Zarema i strzelił do niego z automatycznego pistoletu 8 razy, kładąc go trupem na miejscu, następnie zaś zgodnie ze zwyczajem religijnym, który postanawia, że wrazie zabójstwa brata krwi i siebie należy pozbawić życia, Nazir Mohamed zastrzelił się w oczach sądu religijnego.

Sześć lat w domu warjatów. Franciszek Barszczewski, emigrant polski we Francji, przeżył 6 okropnych lat w domu warjatów, gdzie go zatrzymano, pomimo, że jest człowiekiem zupełnie umysłowo zdrowym. Barszczewski w 1922 r. pracował w kopalni Monceau les Mines (departament Loary) i uległ ciężkiemu wypadkowi, wskutek czego wywiązały się u niego pewne zaburzenia nerwowe. Przewieziono chorego do zakładu dla umysłowo chorych w Dijon, gdzie po kilku miesiącach przyszedł zupełnie do zdrowia. Pomimo tego zatrzymano Barszczewskiego w zakładzie przez 6 lat, każąc mu spełniać różne posługi i płacąc za to 5 franków miesięcznie. Zwolniono go dopiero niedawno wskutek energicznej interwencji przyjaciół. Okazuje się obecnie, że poważną rolę w uwięzieniu zdrowego człowieka w szpitalu odegrały intrygi żony Barszczewskiego, która sobie wyszukała kochanka i pobierała pensję za wypadek mężowski przy pracy.

Bomby w parlamencie. Z Delhi, stolicy Indyj, o której piszemy w dzisiejszym artykule p. t. „Podróż po dalekich krajach" donoszą do Londynu, iż w czasie posiedzenia parlamentu indyjskiego w Delhi wybuchły na sali obrad dwie bomby. Na porządku dziennym był projekt ustawy, nadającej rządowi prawo wydalenia z kraju agitatorów komunistycznych, cudzoziemskiego pochodzenia. W momencie gdy miało nastąpić głosowanie, rzucił ktoś na salę dwie bomby, które wybuchły z wielkim hukiem. Jedna z bomb eksplodowała w pobliżu krzesła, które zajmował minister finansów Sir George Schuster i raniła go lekko. Również kilkunastu posłów odniosło lżejsze rany. Odwieziono ich do szpitala. Jednocześnie z bombami rzucono na salę odezwę, drukowaną na czerwonym papierze z tytułem „Hinduska socjalistyczna armja republikańska", a podpisaną przez przywódcę tej organizacji Walraya. Niezwłocznie po wybuchu rozległy się na sali jeszcze dwa strzały rewolwerowe. Sala posiedzeń parlamentu przedstawiała okropny widok. Krzesła poselskie zostały zbryzgane krwią. Trzy ławy stronnictw rządowych uległy zupełnemu zdruzgotaniu. Obecny w loży prezydjalnej przewodniczący królewskiej komisji konstytucyjnej nie odniósł żadnego szwanku. Posiedzenie natychmiast przerwano i usunięto publiczność z galerji i kuluarów do dalszych części gmachu. Policja otoczyła parlament zwartym kordonem, nie przepuszczając nikogo z jego murów. Podczas przeprowadzonej niezwłocznie rewizji znaleziono u wielu osób bomby i rewolwery, skutkiem czego aresztowano 33 osoby, znane z agitacji wywrotowej. Wśród aresztowanych znajdują się również dwaj główni sprawcy zamachu, którzy po rzuceniu bomb strzelali jeszcze z rewolwerów, ale zostali ubezwładnieni przez sąsiadów na galerji parlamentu. Przyznali się oni do zbrodniczego czynu.

Banda opryszków zburzyła 6 miast. Według doniesień z Szantungu (prowincja w Chinach) 6 miast zostało zupełnie spalonych i zrabowanych przez bandę opryszków włóczącą się w tej prowincji. Zuchwałość bandytów tłómaczy się nowemi walkami między wojskami armji północnej. W najbliższej przyszłości należy oczekiwać ostrego starcia ze strony generała wojsk północnych Paj-Czang-Hsi przeciwko miastu Cze-Fu. Rząd nacjonalistyczny miasta Cze-Fu otrzymał żądanie nakazujące wydanie kluczy od miasta wojskom północnym.

Pożarci przez krokodyle. Jak donoszą z Panamy, ośmiu żołnierzy amerykańskich udało się, wbrew zakazowi, łódką na jezioro, pełne krokodyli. W czasie przejażdżki łódź przewróciła się i wpadli do wody. Po niejakim czasie trzem udało się wdrapać na pień pływającego drzewa, pięciu zaś stało się pastwą krokodyli. Kiedy po jedenastu godzinach zauważono pływających żołnierzy na pniu drzewa i uwolniono ich z tej przykrej sytuacji, byli oni zupełnie z sił wyczerpani.

Śmierć 300 osób w płomieniach. Jak donoszą z Szanghaju, w Chinach, na przedmieściu Putung wybuchł olbrzymi pożar, który rozszerzał się z szaloną szybkością i wkrótce zniszczył wielką ilość zabudowań. Chińska straż pożarna sądzi, że w płomieniach poniosło śmierć około 300 osób. Większość ofiar poniosła śmierć z tego powodu, że mimo grożącego niebezpieczeństwa wracała do swych mieszkań celem ratowania mienia.

RZECZY CIEKAWE.

Meksyk.

Niemal co roku dochodzą z Meksyku wiadomości o powstaniach, rewolucjach i walkach domowych, które w mniej lub więcej krwawy sposób bywają stłumiane, aby za kilka miesięcy znowu wybuchnąć nanowo.

Takie powstanie wybuchło tam w ubiegłym miesiącu i trwa po dzień dzisiejszy, choć, jak donoszą telegramy, rząd tamtejszy obecnie jest górą a powstańcy ponoszą klęskę za klęską.

Aby zrozumieć, dlaczego przychodzi tam do ciągłych walk, trzeba znać ten kraj.

Jedną z zasadniczych przyczyn tych ciągłych niepokojów jest pogarda, niechęć, a często nienawiść wzajemna licznych ras ludności zamieszkującej Meksyk. Ludność ta składa się z 3 zasadniczych grup: osób pochodzenia europejskiego (19 proc.), Indjan (38 proc.) i mieszańców (43 proc.). Lecz każda z tych grup rozpada się na dziesiątki odmian, stroniących wzajemnie od siebie, pogardzających sobą.

Więc ludność pochodzenia europejskiego dzieli się na przybyszów, którzy przywędrowali przeważnie z Hiszpanji (choć nie brak tam i dużej ilości Francuzów i Niemców) oraz na Kreolów, to jest urodzonych w Meksyku. Wśród ludności pochodzenia europejskiego nie widać prawie zupełnie dążności do zlania się w jeden naród, co naprzykład tak charakteryzuje stosunki w Stanach Zjednoczonych.

Indjanie najliczniej zamieszkują okolice podzwrotnikowe i góry; zachowali oni dotychczas swoje języki, obyczaje i nawet wierzenia. — Najzamożniejsi z nich są mieszkańcami Tolteków z Chichimekami i Aztekami. Po nich idą Othomi, Maja, Huaztekowie, Mikstekowie, Zapatekowie, Taraskowie i Matlaziutkowie. Dalej — Opatowie, Turahumarowie i Pimowie. Indjanie odgrywają bardzo często wielką rolę w życiu państwa, sięgając niekiedy po naczelną władzę. Nie tworzą zresztą Indjanie zwartej masy, a liczne ich plemiona żyją stale w jawnej lub chwilowo ukrytej między sobą walce.

Najliczniejszym, lecz zarazem i najwięcej skomplikowanym i najniespokojniejszym elementem są mieszańcy. Aby nie wdawać się w szczegóły, wymienimy dwie zasadnicze grupy mieszańców. Jedną, liczniejszą, stanowią t. zw. metysi, tj. mieszańcy białych z Indjanami, drugą tworzy ludność zwana w Meksyku Sambo lub Chino, a należą do niej mieszańcy białych z murzynami.

Jeżeli się zważy, że każda z tych grup przy lada okazji stara się zgnębić pozostałe, że dziesiątki stale zmieniających się przymierzy, zmów i sojuszów zawierają one między sobą — stanie się jasnem podłoże nieustannych walk społecznych, wstrząsających życiem państwa, poza silnemi wpływami obcokrajowych grup finansowych.

Nadzwyczajna pamięć króla angielskiego.

W rzędzie licznych przymiotów, którym król angielski Jerzy V zawdzięcza swoją olbrzymią popularność, nie ostatnie miejsce zajmuje jego niebywała pamięć. Król pamięta i poznaje z fenomenalną bystrością wszystkie osoby, z któremi się kiedykolwiek w życiu zetknął, choćby najbardziej przelotnie. Obecnie, gdy z powodu choroby król otrzymuje tyle oznak serdecznej miłości ze wszystkich sfer narodu, dzienniki angielskie przytaczają cały szereg ciekawych anegdot z jego życia, świadczących właśnie o tej niezwykłej pamięci, zjednującej monarsze serca podwładnych. Zadziwiający był np. fakt następujący: Król podczas rewji na jednym z okrętów zwrócił się do pewnego marynarza bez ręki i zapytał: Jak się masz Sharp? gdzie to straciłeś rękę! Okazało się, że marynarz uległ kalectwu podczas obsługi działa na okręcię wojennym, przed 20 laty podczas jakichś manewórw był przedstawiony królowi. Innym razem podczas podobnego przeglądu zapytał król pewnego oficera: „No, jakże panu idzie w nowej służbie". Zapytany nie mógł wyjść ze zdumienia, że został przez króla poznany. Było to bowiem tak, że przed rokiem służąc przy infenterji, złożył jakiś meldunek władcy. Po tym upływie czasu mimo zmiany munduru król go poznał odrazu i uświadomił sobie jasno w jakich warunkach widział go po raz pierwszy.

Co to jest mgła?

Powietrze czyste i suche jest gazem zupełnie przeźroczystym. Gdy dostrzeżemy brak tej przeźroczystości, mówimy, że powietrze jest zamglone. Mgła składa się z bardzo drobnych cząsteczek wody, powstałych przez zgęszczenie pary, będącej w powietrzu. Cząsteczki te są tak małe, iż nierychło spadają ku ziemi, podobnie jak drobny pył lub kurz, który mimo większego ciężaru, z łatwością się w powietrzu unosi. Mgła tworzy się, ilekroć powietrze wilgotne się oziębi. Z tej przyczyny w mroźny dzień tworzą się na dworze z naszego oddechu obłoczki mgły. W lecie oddech nie nie bywa zamglony.

Mgły zimowe powstają, gdy po dłuższym mrozie, który ziemię silnie oziębił, powieje wiatr cieplejszy i wilgotny n. p. południowo-zachodni. Mgły takie bywają zapowiedzią odwilży. W lecie bardzo często są mgły wieczorne, tworzące się przeważnie w miejscach niskich i wilgotnych. Widać wtenczas często mgły nad rzekami i stawami. Powietrze oziębione spływa ponad rzekę sprawia to zamglenie.

Podobnie tłómaczą się mgły ponad niskimi równinami, nad łąkami, moczarami itp. Mgły bywają bardzo często w górach, a po deszczu z każdego niemal parowu i z wilgotnych lesistych dolin wychodzą mgły, często tak gęste jak dym.

Niezwykłe rekordy.

Są różni zbieracze i różni rekordowcy. Są głodomory i artyści, dokazujący cudów nożem i widelcem. W Czechosłowacji sławiono bohaterskość młodzieńca, który siadł i zjadł 101 knedli ze śliwkami. W Ameryce niejaki Mr. Myers, konsumuje 43 omlety pięciocalowe i dodaje kilka stóp bolońskiej salami. W Berlinie podjął się ktoś zjeść świnię wagi 150 kilo w przeciągu 10 dni. Dwóch młodzieńców zdobywa sławę, nie śpiąc przez 72 godziny. August Comstock w Fergus Falls w Minnesota wypił w przeciągu siedmiu godzin i piętnastu minut 85 fiilżanek kawy. Inni żądni rozgłosu zawieszają się na huśtawce amerykańskiej przez 16 dni. F. G. Burt w Jamestown grał na fortepianie 52 godziny. Edward Kemp w Saksonji 82, a Bud Reynolds z Kolumbji 105 godzin. Pani Carmen Reggio założyła się, że w szybkiem tempie wejdzie po schodach na 60 piętro (1358 stopni) wieży Woolworth i zaśpiewa tam kolędę. Pierwszą część zakładu wygrała, do drugiej zbrakło jej tchu. Rekordowym gadułą jest p. Horatz z Niemiec, mówiąc 48 godzin bez przerwy.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Wojciech Byczek** w K.: Artykuł zupełnie dobry i na czasie, więc go zamieścimy. — **Aleksander Gwóźdź** w L.: Opis katastrofy w kopalni zajmujący, ale wypadek z przed 30 laty traci na aktualności. Zdarzenie z chłopcem zbyt błahe. — **Józef Pachołek** w Ch. W.: „Za Polskę“ zamieścimy; wierszyk słabszy. — **Walenty Pasierb** w Cz.: Wierszyk otrzymaliśmy — dobry. — **Szymon Tadanier** w L.: Logogryf byłby dobry, gdyby był napisany tak, jak ma być umieszczony w „Roli“, a tymczasem przysłał Pan tylko rozwiązanie, z którego trzebaby dopiero zrobić zadanie do rozwiązania. — **Jan Schnee** w Rz.: Żadnych listów, jako druk, nie można posyłać, gdyż to podlega podwójnej opłacie. — **Sortecka** w Ż.: Wątpimy, aby jakiekolwiek odszkodowanie mogła Pani otrzymać, gdyż tego nie przewiduje żadna ustawa. Najdokładniej mogą jednak Panią poinformować w Powiatowej Komendzie Uzupełniającej w mieście powiatowem. — **Rudolf Broda** z R.: Nr. 14 z czeskim czekiem wysłaliśmy Panu. — **Władysław Gomuła** w M.: Wysyłkę do Ameryki dla Siostry wznowiliśmy wysyłając też zaległe numera. — **Antoni Szymański** w H.: Nadesłany list angielski, przetłumaczony na polski język brzmi w streszczeniu: „Poczta przynosi codziennie setki takich próśb, odpowiadają więc, aby Pan sobie sam pomagał a na ich pomoc, względnie wsparcie nie liczył“. Czek z Nr. 15 posłaliśmy Panu. — **Stefan Dragon** w D.: „Rolę“ będziemy Panu posyłać do 5 maja. Numera okazowe pod wskazanymi adresami posłaliśmy. — **Teofil Grzybek** w W.: Od Nowego Roku możemy wysłać, ale bez Nr. 7, którego nam brak. — **Józef Mędrzak** w S.: To wielu tak myśli jak Pan, gdy tylko przesyłki książek nie dostaną, to Administracja nie wysyła. I w pierwszej kartce Pan pisał tylko, że otrzymał 6 tomów, a sennika żeśmy nie wysłali, a gdyśmy powtórnie posłali, napisał nam Pan, że paczka była rozdarta i jednej książki brakowało. Niech Pan schowa to poświadczenie, które Pan otrzymał z urzędu poczt. w Białej, że przesyłka była naruszona. Napiszemy do Dyrekcji Poczt. — **A. Lichorowicz** w H.: Prenumerata nadeszła, numera wysłane. Ale na trzeci kwartał prosimy pamiętać, bo my tylko czek prześlemy temu, do którego „Rola“ dochodzi. Dziękujemy. Cześć! — **Jan Domiter** w M.: Podajemy Panu źródło najlepsze: Warszawa, Izaak Hufnagel, ul. Franciszkańska 28. Może Pan zażądać próbek. — **Józef Sikora** w T.: Sam sobie Pan winien, ponieważ Pan tak późno zaprenumerował. Tych numerów nam brak. — **Józef Malczyk** w B. S.: W nadesłanych nam wierszykach są jeszcze pewne braki, które po uważnem przeczytaniu sam Pan spostrzeże. Nowelka dobra, choć dla nas nieco zadługa, unikamy bowiem ciągów dalszych w rzeczach drobniejszych. W każdym razie przeznaczamy ją do druku. Tytuł zdaje się nam niebardzo odpowiedni. — **Jan Żmuda** w Chicago: W liście swoim poruszył Pan kilka bardzo ważnych kwestyj, obchodzących całe społeczeństwo, dlatego omówimy te sprawy w osobnym artykule w następnym numerze „Roli“. Łączymy serdeczne pozdrowienia. — **„Jasnowłosa“** z Tarnowa: Nie dziwię się, że Poznań tak się Pani podoba. Największą jego może ozdobą jest ta czystość, jakiej w miastach małopolskich brak tak wielki. — **Jan Matuszkiewicz** w G.: Zagadki zupełnie dobre, przeznaczamy je więc do druku. — **Tadeusz Frączek** w R.: Wiersze nie nadają się jeszcze do druku. Aby wykazać dokładnie ich braki, trzebaby je w całości wydrukować, a na to nie mamy miejsca. Natomiast zagadki i artykuł prozą zupełnie dobre. Wysokości opłaty szkolnej w seminarjum w Rzeszowie nie znamy. Najlepiej napisać wprost do Dyrekcji, a stamtąd otrzyma Pan dokładne informacje. Wspomniane marki niemieckie są zupełnie bez wartości. — **Walerjan Wyroba** w M.: Dlaczego Pan w środek logogryfu wsadził klepsydrę marszałka Focha, nie rozumiemy, a nie zrozumieliby również i Czytelnicy. Wobec tego nie wydrukujemy. — **Jan Gołębiowski** w N. S.: W nadesłanych wierszach znać talent, ale rymy są nieszczęśliwie dobrane, więc utwory tracą na polocie. Spodziewamy się jednak, że dalsze próby będą całkiem dobre.



Zagadki do nagrody.

1. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Józef Rodak z T.).

ra	ra	ka	le	le	ra
ka	kul	ni	ra	ga	ga
tu	tu	rze	ko	że	ktu
ro	ro	ta	fo	ty	ty
ta	cho	lja	kró	kan	lo
ba	ba	kie	lo	wa	wa

Poprzestawiać zgłoski, aby w każdym kwadracie było po trzy słowa o jednakowem znaczeniu tak w kierunku pionowym jak w poziomym.

2. Zagadki.

(Ułożył Jan Weber z K.).

I.

Wprost to drzewo miewa,
Wspak gwiżdże i śpiewa

II.

Wprost to pole, kawał ziemi,
Wspak z chmur leci aż do ziemi.

III.

Czy wprost czy wspak to część ciała
Dwoje w sobie głowa miała.

IV.

Wprost się kładzie ziemniaki
Wspak go żłobią chłopaki.

(Ułożył Jan Gara z W.).

V.

Wprost kierunek wskazuje,
Wspak zaś w grze dominuje.

VI.

Wprost imię żydowskie wypływa,
Wspak znów się zwierz zaszywa.

3. Szarada.

(Ułożył Kulak Fr.).

Chcesz mieć wokół ciszę,
Musisz mówić pierwszą,
Ja zaś baczyć muszę,
Nie psuć rymów wiersza.
Jesteśli na złote
Sama druga trzecia,
Będzie wielką potem
Hańbą dla waszecia.
Na Podhalu całość,
Gdzieindziej nie można.
U kogo ta dbałość
Tam to widzieć można.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył „Ben Chorin“).

Cecha poezji (dobrej).
Inaczej człowiek.
Korzenie.
Jest przy gospodarstwie.
Rodzaj noża.

Poziomo i pionowo.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 20 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 14 „Roli“: 1. Logogryf: Nowa Południowa Walja. 2. Szarady: I. Jerozolima. II. Apolinary. 3. Zagadki: I. Kurd-druk. II. Kudak-kaduk. II. Kajak. 4. Kwadrat magiczny: Pora-ogon-Rola-anan.

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

U mizantropa.

— Czego się pan bezustannie śmieje? Co pan z tego ma?

— Mieć nie mam nic, ale zauważ pan, że kiedy się śmieję, to w tym czasie nie płaczę, a i to przecież coś warte.



Krytyk.

Pan Majer był zaproszony na obiad Fiszów. Gdy go potem pytano, jak mu smakował obiad, rzekł.

Gdyby zupa była taka ciepła, jak wino, a wino takie stare jak gęś, a gęś taka tłusta, jak gospodyni domu — to obiad byłby nie najgorszy.

W Biurze.

— Dzisiaj była u nas rewizja kasy! Cztery godziny przeszukiwała komisja książki.

— Ale już skończyli?

— Teraz szukają już kasjera.



W szale opowiadania.

— No, proszę panów muszę przyznać, że to skandal. Żadnej korzyści nie mamy z policji. Wczoraj o północy w biały dzień napadł na mnie opryszek.



Wspólny rachunek.

— Ja posiadam wraz z mężem wspólne konto bankowe...

— Zdaje mi się, że jest to bardzo niewygodne...

— Przeciwnie! Mąż mój ustawicznie wpłaca pieniądze, a ja pieniądze z banku wyjmuję...

Giełda płodów rolniczych
z dnia 12 kwietnia b. r.

Pszenica	50·50—51·00	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	34·50—35·00	Ziemniaki stoł.	9·00—10·00
Owies	36·50—37·50	Koniczyna nasienn. czer.	220·00—250·00
Jęczmień	34·00—35·00	Mąka żytnia	51·50—53·00
Fasola biała	180·00—210·00	Mąka pszen.	77·50—78·50
Groch zwyk.	58·00—62·00	Otręby pszen.	29·00—30·00
Siano słodk.	25·00—28·00	Otręby żytnie	27·00—28·00
Łubin żóły	00·00—00·00		

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 12 kwietnia b. r.
Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·30 do 1·87 zł.	Jałownik	od 1·27 do 1·86 zł.
Woły	od 1·38 do 1·90 zł.	Cielęta	od 1·12 do 2·30 zł.
Krowy	od 0·83 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·15 do 2·80 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·15 do 3.50